

REPRYWATYZACJA - ZGUBNE SKUTKI ZANIECHANIA | PRACOWNICZE PLANY KAPITAŁOWE | CIĄGLE BOIMY SIĘ INNOŚCI

nasze czasopismo

Nr 11/2018 • www.naszeczasopismo.com.pl • ISSN 2543-7143

INDEKS 417165 • cena: 5zł (w tym VAT 8%)



NIE JEDNOŚĆ, LECZ SZACUNEK

Rozmowa z byłym prezydentem RP Bronisławem Komorowskim



nasze czasopismo

Szanowni Państwo,

Na początku 2016 roku, w odpowiedzi na otaczającą rzeczywistość i upolitycznienie mediów, powstało „Nasze Czasopismo”. Gazetę współtworzą profesjonalni dziennikarze, eksperci, pasjonaci z różnych dziedzin, a także Wy - nasi Czytelnicy. Mieliśmy wielu znamienitych gości, a tematy gospodarcze, społeczne, kulturalne czy prawne nie są nam obce.



Jesteśmy pismem opiniotwórczym innym niż pozostałe. Promujemy nowoczesne postawy, wolność w życiu społecznym i gospodarczym. Poruszamy tematy nieobecne w mediach głównego nurtu. Publikacje kierujemy do każdego zainteresowanego sprawami wykraczającymi poza własne „cztery ściany”. Do tych, którzy nie chcą żyć według gotowej recepty na życie, przygotowanej przez innych. „Nasze Czasopismo” to miejsce otwarte dla każdego, kto chciałby podzielić się swoimi refleksjami z innymi.

Jako młode wydawnictwo, cały czas się rozwijamy. Oprócz wersji papierowej naszego miesięcznika, dostępnej na terenie całej Polski w sieciach Empik i Ruch oraz w dystrybucji bezpośredniej, jesteśmy też obecni online na: www.naszezasopismo.com.pl.

„Nasze Czasopismo” dostępne jest na terenie całej Polski w sieciach Empik i Ruch oraz w dystrybucji bezpośredniej: redakcja@naszezasopismo.com.pl

Prenumerata: www.eko-market.pl, <https://prenumerata.ruch.com.pl/prenumerata-nasze-czasopismo>,
redakcja@naszezasopismo.com.pl

Zapraszamy do współpracy. Propozycje tekstów, ale też rysunków czy fotografii można wysłać na adres: redakcja@naszezasopismo.com.pl.

Wszystkich, którzy wierzą w wizję „Naszego Czasopisma” i chcą pomóc w wydawaniu kolejnych numerów, zapraszamy do wsparcia miesięcznika poprzez darowiznę:

PINIA sp. zo.o.

nr rachunku bankowego: **19 2530 0008 2016 1040 8821 0001** (tytuł wpłaty: darowizna)
lub: <https://zrzutka.pl/mx5xm8/wplac>

bądź zamieszczenia reklamy na łamach naszego pisma w wersji papierowej oraz online. Oferta reklamowa jest tworzona indywidualnie. Kontakt: marketing@naszezasopismo.com.pl

Przemysław Wiszniewski
redaktor naczelny



Na 100-lecie odzyskania niepodległości nasza Polska przybrała kolor brunatny. Wypełży zewsząd demony przeszłości, wiecznotrwałe. Te same, które zawładnęły Polską międzywojnia i kazały zamordować Narutowicza, a potem wprowadzić getto ławkowe. Te same, które podczas okupacji popchnęły ludność do mordu w Jedwabnem. Te same, które już po wojnie objawiły się w Kielcach podczas pogromu. I w 1968 roku, gdy wypędzano stąd polskich Żydów. Mamy oto znów faszyzm w Polsce. Wstyd i hańba, zwłaszcza rządzącym, którzy pobłażają faszystom i którzy zachęcają do wrogości i pogardy. Polska jest faszystowska.

Neofaszyści z całej Europy jadą do Warszawy na 11 listopada. Konferencja, koncert, a potem Marsz Niepodległości – donosi prasa. W tym kontekście śmieszne wydają się zabiegi prezydenta, który zapraszał na ten marsz, a później zeń zrezygnował. Śmieszne, lecz także symptomatyczne, zwłaszcza w kontekście rezolucji Parlamentu Europejskiego o zakazie działalności grup neofaszystowskich, której eurodeputowani PiS nie poparli.

Ten haniebny marsz nie jest jednak problemem, lecz objawem prawdziwego problemu. Polska na co dzień już spowita jest mrokiem nadciągającego faszyzmu. Nie powstrzymaliśmy brunatnej fali, nie potrafiliśmy, nie dostrzegaliśmy zagrożenia. Wypowiadane niekiedy ostrzeżenia wydawały nam się przesadzone, bagatelizowaliśmy je. Na naszych oczach zmienia się ustrój państwa, a ludzie wokół klaszczą, o czym świadczą wyniki wyborów. Partia rządząca ich nie przegrała. Przeciwnie, osiągnęła nowe przyczółki. Trzymają się na razie miasta.

Faszyzm to nie tylko marsze ogolonych na tyso w podkutych glanach. Faszyzm to – jak uczy historia – dziele nie ludzi na lepszy i gorszy sort. Faszyzm to likwidacja niezależnego sądownictwa i powołanie sądów ludowych. Faszyzm wreszcie to powołanie do życia uzbrojonych bojówek. Obecna władza zmierza metodycznie w tym kierunku.

Wszelako to ciągle jeszcze nie jest największy problem. Największym problemem jest to, że społeczeństwo akceptuje owe zmiany. Pragnie rządów silnej ręki, wymiany elit na te ludowe, daje się szczuć przeciwko mniejszościom. Ulice polskich miast codziennie są świadkami napaści na obcokrajowców. Naród zasmakował w pogardzie, w nienawiści i wrogości, w agresji. Porzucił poprawność polityczną.

Zdaniem politologów, podstawowe znamiona faszyzm, to m.in. nacjonalizm, etatyzm, militarizm, totalitaryzm, antykomunizm, korporacjonizm, populizm, kolektywizm oraz opozycja do politycznego i ekonomicznego liberalizmu. Ziarno zostało zasiane.

Kolejnym symptomem jest współdziałanie Kościoła hierarchicznego, o czym pamiętamy z lekcji historii. Mimo zatem pewnych analogii do PRL, dzisiejsza Polska staje się zatrwającą narodowo – socjalistyczna.

Tak wygląda współczesny pejzaż naszej Polski w listopadzie, najgorszym z tutejszych miesięcy. Powinniśmy się nim cieszyć jako przypominającym nam o niepodległości, a coraz wyraźniej przypomina nam o kolorze faszystowskich mundurów, niegdyś naszych prześladowców, dziś naszych współobywateli.

I w takiej atmosferze świętujemy nasze stulecie, kompromitując się przed całą Europą.

nasze czasopismo



rys. Marek Mosor Widget

nasze czasopismo

ADRES: www.naszezasopismo.com.pl, redakcja@naszezasopismo.com.pl

REDAKTOR NACZELNY: Przemysław Wiszniewski

REDAKCJA: Dorota Bilewicz-Bandurska

SEKRETARZ REDAKCJI: Sylwia Wiszowata

PROJEKT GRAFICZNY PISMA: Piotr Woźniak

PROJEKT LOGO I OKŁADKI: Piotr Woźniak

W NUMERZE PISZĄ: Dorota Bilewicz-Bandurska, Jacek Władysław Bartyzel, Anna Gnoińska, Agnieszka Gołas, Mateusz Kijowski, Ewa Krawczyk-Dębiec, Maria Lewandowska, Michał Ruszczyk, Anna Schwerin, Andrzej Wierzbą, Włodzimierz Witakowski, Agnieszka Wyczołkowska, Katarzyna Wyszomierska
FOT. NA OKŁADCE: Przemysław Wiszniewski

Jeśli chcą Państwo zgłosić nam ciekawy temat, zauważoną nieprawidłowość lub poruszyć sprawę dotyczącą tego, co jest Państwu bliskie:

redakcja@naszezasopismo.com.pl

Pisząc do nas, mają Państwo prawo do zachowania anonimowości. Materiały niezamówione przez redakcję nie podlegają zwrotowi.

WYDAWCA: PINIA Sp. z o.o.
ul. Chmielna 2/31, 00-020 Warszawa

PINIA

ZARZĄD WYDAWNICTWA:

Ewa Krawczyk-Dębiec (Prezes Zarządu), Anna Lewicka

Darowizny można wpłacać na rachunek nr: 19 2530 0008 2016 1040 8821 0001

REKLAMA: marketing@naszezasopismo.com.pl

DRUK: Foldruk-Folion Sp.j.

Nr 11/2018

TEMAT MIESIĄCA

- 6 Dorota Bilewicz-Bandurska: NIE JEDNOŚĆ, LECZ SZACUNEK
Rozmowa byłym prezydentem RP Bronisławem Komorowskim.
10 Maria Lewandowska: ŚWIĘTO BARDZO NIEOCZYWISTE

KOBIETY DEMOKRACJI

- 22 Katarzyna Wyszomierska: INNA SZKOŁA JEST MOŻLIWA
Rozmowa z Dorotą Łobodą

SPOŁECZEŃSTWO

- 28 Włodzimierz Witakowski: GOSPODAROWANIE ODPADAMI ZNOWU
WYMAGA ZMIAN
32 Agnieszka Gołas: CIĄGLE BOIMY SIĘ „INNOŚCI”
34 Andrzej Wierzbą: AJURWEDA – SPOSÓB NA ZDROWIE
Rozmowa z Pratibha Mangin i Ravindra Kumar Mangin

EKONOMIA

- 23 Anna Gnoińska: “KOBIETY NA TRAKTORY” TO NAJPROSTSZA
DROGA DO DOBROBYTU
24 Jacek Władysław Bartyzel: CZY PPK URATUJĄ NAS PO
BANKRUCTWIE ZUS?
26 Włodzimierz Witakowski: ŻARÓWKA A EDUKACJA EKONOMICZNA

PRAWO

- 16 Ewa Krawczyk-Dębiec: REPRYWATYZACJA, CZYLI ZGUBNE SKUTKI
ZANIECHANIA
20 REPRYWATYZACJA OKIEM WŁAŚCICIELA I SPADKOBIERCY
NIERUCHOMOŚCI

POLITYKA

- 14 Michał Ruszczyk: WYBORY SAMORZĄDOWE – ZWYCIĘSTWO
CZY STATUS QUO?
21 Michał Ruszczyk: POLEXIT? CO WYROK TSUE OZNACZA
DLA POLSKI

FELIETON

- 5 Mateusz Kijowski: 50 LAT NIEPODLEGŁOŚCI

HISTORIA

- 30 Agnieszka Wyczołkowska: ŚREDNIOWIECZE NIE TAKIE ZNOWU
ŚREDNIOWIECZNE

KULTURA

- 38 Anna Schwerin: ZAPOMNIANY KOMPOZYTOR NIEPODLEGŁEJ

TURYSTYKA

- 36 Ewa Krawczyk-Dębiec: CYPR, DOM PODZIELONY MUREM



MATEUSZ KIJOWSKI

FELIETON

50 LAT NIEPODLEGŁOŚCI

11 listopada 1918 roku uznano symbolicznie za datę odzyskania niepodległości przez Polskę. Zostawmy historykom spory, czy dobrze wybrano ten dzień. Pomyślmy za to, co właściwie świętujemy.



fot. Piotr Drabik, źródło: wikipedia.org

Może termin 7 października, 12, 22 albo 29 listopada byłby lepszy? Dzisiaj nie ma to znaczenia. Może tylko takie, że 100-lecie mogło nie wypaść w niedzielę i nie trzeba by było ustanawiać dodatkowego dnia świętowania. W końcu co to za święto, które wypada w niedzielę...

Skupmy się na treści, nie na formie. 100 lat temu Polska odzyskała niepodległość. Czy możemy w tym roku świętować 100 lat niepodległości? Sto lat od odzyskania niepodległości na pewno. Czy jednak Polska rzeczywiście ma za sobą 100 lat niepodległości?

Pewien historyk, piastujący dziś funkcję premiera, oświadczył niedawno, że w 1968 roku nie było w ogóle Polski. Skoro jej nie było, to nie mogła być niepodległa. No to już mamy co najmniej jeden rok wyjęty z tych stu. Ten jeden rok nie może być jednak wyjęty z historii jako wyjątkowy. Katowice w sposób oficjalny i urzędowy nosiły przez ponad trzy lata nazwę Stalinogród. Od 9.03.1953 r. do 20.12.1956 r. Ale Polska... nazwy nie zmieniała, władze, jeżeli się zmieniały, to w wyniku wewnętrznych uzgodnień, wszystko się odbywało w sposób płynny, bez znaczących przełomów. A zatem skoro nie było Polski w 1968, to kiedy była? Czy była w 1948? A w 1983? A może była Polska w 1941 roku? Polska niepodległa?

Czy zatem możemy dzisiaj świętować 100 lat niepodległości? Stulecie odzyskania niepodległości brzmiałoby zdecydowanie lepiej. No i sprytnie byśmy pominęli milczeniem, co się działo w tak zwanym międzyczasie. A co się działo?

Trudno zaprzeczyć, że w 1939 roku Polska utraciła niepodległość a w 1989 roku tę niepodległość odzyskała. Czy między 1939 a 1989 rokiem istniała Polska, czy była niepodległa – to zależy od aktualnej koncepcji rządzących. Czasem okazuje się, że Polski za PRL-u nie było. Kiedy indziej dowiadujemy się, że Gierek był patriotą, a prokurator stanu wojennego ma wszelkie kwalifikacje, żeby nas uczyć praworządności. W niektórych obszarach wdraża się rozwiązania wprost powielające „reformy w III Rzeszy”. Kiedy chodzi o przekonania, a kiedy o tak zwane zdolności koalicyjne... Zdecydowanie jestem za tym, aby w 2018 roku świętować sto lat od odzyskania niepodległości w 1918 roku albo 50 lat niepodległości. Od 1918 do 1939 mamy 21 lat a potem 29 lat od 1989 do 2018. Razem akurat okrągłe 50 lat. Mniej, ale uczciwiej...

Mam jeszcze jeden kłopot z tym świętem. Z tym świętowaniem. Z zawłaszczaniem tego święta przez rządzących i ośmieszeniem. Od wielu lat obecnie rządzący wspierają huczne pochody o nacjonalistycznym wydźwięku i faszystowskim zabarwieniu w najważniejsze dni pamięci narodowej, również te związane z walką z faszyzmem, który przecież wyrządził Polsce największe szkody w historii. To odbiera świętom i uroczystościom znaczenie i wynikający z historycznych zasług wymiar. Te obchody coraz bardziej przypominają kibolskie ustawki albo dziecięce przebieranki. Piesi husarzy na paradzie w Święto Wojska Polskiego dopełnili chyba tej kompromitacji.

Niepodległość dla Narodu i dla Państwa to niezwykle ważny atrybut w czasach niewoli czy wojny. Po 123 latach zaborów 1918 rok był wielkim przełomem. Ale po 44 latach komunizmu poprzedzonych sześcioma latami okupacji niemieckiej faktycznym wyzwoleniem i początkiem prawdziwej wolności i niepodległości był 4 czerwca 1989 roku. Dzień, kiedy Polacy odzyskali realny wpływ na swoje losy i na swoje Państwo. Pomyślmy nad tym, co stanowi fundamenty dzisiejszej Rzeczypospolitej Polskiej. Czy nie byłoby właściwszym świętowanie 4 czerwca zamiast 11 listopada? Zwłaszcza że oprócz jednoznaczności historycznej również warunki pogodowe bardziej sprzyjają świętowaniu. No a 4 czerwca 2089 (100-lecie) wypada w sobotę, więc oszczędzilibyśmy naszym potomkom dodatkowych komplikacji... ■

NIE JEDNOŚĆ, LECZ SZACUNEK

O 100-leciu odzyskania niepodległości i filarach jej trwałości, kondycji narodu i nowoczesnym patriotyzmie z byłym prezydentem RP Bronisławem Komorowskim

rozmawia Dorota Bilewicz-Bandurska



fot. Piotr Olczak

Jak będzie pan świętował 100-lecie odzyskania niepodległości przez Polskę?

Jest jeszcze trochę czasu na decyzję, ale już wiem, że jadę do Poznania a wciąż mam nadzieję, że i w Warszawie, pewnie wieczorem zdołam świętować w gronie przyjaciół i towarzyszy z niełatwej drogi ku powtórnie odzyskiwanej w 1989 niepodległości.

Przyjął pan zaproszenie od prezydenta Andrzeja Dudy na koncert na Stadionie Narodowym?

Trudno być w dwóch miejscach jednocześnie. Nie sądzę więc, abym wybrał się na jakiegokolwiek obchody organizowane przez obecną władzę, natomiast być

może poszukam rozwiązania, które pozwoli mi zaznaczyć to, że w jakiejś mierze chcę przekroczyć proste bariery różnic politycznych, tak jak to robiłem pełniąc funkcję prezydenta Polski.

Prezydent Duda zaprosił Polaków do udziału w Marszu Niepodległości. Jak pan to ocenia?

Podobno Pan prezydent zapraszał innych na marsz narodowców a potem sam ogłosił, że się tam nie wyboera. Prezydent z jednej strony flirtował ze skrajnymi środowiskami nacjonalistycznymi, a z drugiej zapraszał ludzi o umiarkowanych poglądach m.in. byłych prezydentów. Wydaje się, że zaczął zapraszanie nie od tego końca, od którego powinien. Te umizgi do skrajnej narodowej prawi-

cy eliminują możliwość poważnego rozważania mojego udziału w jakiegokolwiek imprezie organizowanej przez prezydenta z okazji rocznicy 11 listopada.

Z tego wniosek, że jedności i wspólnego świętowania nie będzie?

Przez pięć lat mojej prezydentury zawsze zapraszałem działaczy PiS na oficjalne obchody Święta Niepodległości, ale nigdy nie przyjęli zaproszenia. Tak więc postulat jedności jest stary jak świat czy też stary jak Polska, ale o jego realizację należy zabiegać, a nie tylko ją deklarować. Zabiegać, to znaczy szanować opozycję, nie obrażać ludzi o innych poglądach, nie nazywać zdradzieckimi mordami czy obywatelami drugiego sortu jak to czynił PiS. Prezydentem przynajmniej powinien

starać się być obywateli o różnych poglądach, jak to się mówi – Prezydentem wszystkich Polaków. A pan prezydent uznał i zadeklarował, że reprezentuje wyborców PiS, a dzisiaj zaś flirtuje ze skrajną narodową prawicą.

Te podziały przeniosły się z polityki w głąb społeczeństwa. Co pana zdaniem można by zrobić, aby nie przebiegały one przez środek rodzin w Polsce?

Podziały nie są niczym złym, jeśli nie oznaczają wzajemnej nienawiści, na tym polega demokracja...

Ale to jest otwarta wrogość!

Trzeba dostrzec tę różnicę. Podziały są rzeczą normalną, bo wszyscy mamy prawo do różnych poglądów. Nie w podziałach jest problem, tylko w stopniu brutalności zaznaczania niechęci do tych, którzy mają inne poglądy. Podziałom nie musi towarzyszyć wrogość. Postulat jedności jest w obliczu mechanizmów demokratycznych w ogóle niepoważny. Jedność wobec różnic poglądów? Nie, ona nie jest potrzebna – szacunek dla ludzi o innych poglądach, nieobrażanie, niewywoływanie niepotrzebnych ostrych napięć – to co innego, to jest bardzo słuszne i potrzebne. Wydaje się jednak, że obecny obóz władzy nie jest zdolny do zasypania rowu nienawiści i wrogości, która jest niestety faktem. Nie jest w stanie, bo sam ten rów w ogromnej mierze wykopał. Nie należy więc postulować jedności, bo ona będzie zawsze sztuczna, należy postulować wyhamowanie mechanizmów wzajemnej wrogości, niechęci i brutalności w polityce i samemu ten postulat realizować w praktyce gdy się sprawuje odpowiedzialność za państwo.

To się jednak odnosi do antagonizmu między demokratyczną opozycją a obozem rządzącym. A jak pan ocenia szanse na utworzenie jednolitego frontu w ramach opozycji? Wspólne działania w celu odsunięcia PiS od władzy wydają się przecież niezbędne?

Znowu – nie jest potrzebna jedność, aby zrobić coś razem. Jedność będzie sztuczna przy różnicach programowych, róż-

nicach dróg politycznych czy genealogii politycznej. Postulat jedności jest pięknoduchostwem. A polityka jest jednak domeną dosyć twardego realizowania własnych pomysłów i własnych dążeń. Nie postuluję zatem jedności wszystkich z wszystkimi, postulowałem od samego początku dążenie do przekroczenia barier dzielących Platformę Obywatelską i Nowoczesną.

To się już stało...

Tak, to się na szczęście stało, choć z dużym opóźnieniem i po niepotrzebnych stratach. Tu potrzebna jest kontynuacja i właśnie dążenie do jedności pełnej. Wybory samorządowe dały bardzo dobry efekt w tych miejscach, gdzie Nowoczesna dysponowała jakimiś aktywami politycznymi, czyli w miastach. Zsumowały się one z potencjałem Platformy. Stało się tak ze względu na metodę liczenia głosów D'Hondta, która premiuje tego, który ma najwięcej i w tym wypadku premiowała listy Platformy i Nowoczesnej.

Trzeba z tego wyciągnąć wnioski na przyszłość. I mogą być one dużo bardziej radykalne, bo nie ma w zasadzie istotnych różnic programowych między PO i Nowoczesną, gdyż Nowoczesna w znacznej mierze wywodzi się z kręgów kiedyś sfrustrowanych i zniechęconych do Platformy wyborców. To są de facto te same środowiska, te same osoby. Wydaje się, więc, że po wyborach kierownictwo partii powinno przemyśleć formułę pełnego zjednoczenia obu środowisk i w ten sposób uzyskać bardzo mocny efekt jedności.

Natomiast formuła koalicji albo luźniejsza formuła sojuszu politycznego może obejmować środowiska o bardzo różnych zabarwieniach, byle nie walczące ze sobą, takie, które potrafią się nie tylko szanować, ale mają również jakiś wspólny mianownik, przynajmniej minimum programowe. Dlatego cieszę się, że do Koalicji Obywatelskiej przysięgnęto Barbarę Nowacką i bardzo życzę odwagi przywódcom koalicji, aby zapraszali także inne środowiska.

Z satysfakcją obserwuję wyraźny postęp w myśleniu o wspólnej liście, która może

być wyrazem albo koalicji, albo sojuszu politycznego. Takie sygnały płyną ze strony PSL. Lewica musi się sama ogarnąć i zdecydować, co chce robić. Gdyby jednak środowiska lewicowe dojrzały do wspólnej listy, to powiem tyle – metoda D'Hondta zachęca do maksymalnego poszerzania listy.

Jednym z kluczowych pojęć używanych przy okazji 100-lecia odzyskania niepodległości jest naród. Czym jest naród pana zdaniem w dzisiejszych czasach?

Naród jest wspólnotą o wymiarze tak historycznym, jak i bieżących interesów, której spoiwem jest wspólna kultura. To nie tylko historia i tradycja, ale wspólnota dnia dzisiejszego. Samobójstwo polityczne popełniają te środowiska, które nie chcą dostrzegać faktu, że współczesny świat jest jednak w dalszym ciągu domeną narodów. Bardzo mądrze swego czasu napisał o tym Leszek Kołakowski, stwierdzając, że niepoważne są oczekiwania, iż obecne narody zastąpi kiedyś naród europejski.

Europa jest piękna swoją różnorodnością. Bardzo się tym chwalimy, tylko trzeba to odnieść również do różnorodności kultur i różnorodności narodów. Uważam, że to jest poważny problem do przemyślenia dla dzisiejszej opozycji demokratycznej, jakiego języka używać, jak mówić o marzeniach związanych z funkcjonowaniem własnego narodu. Bo naród to nie to samo co społeczeństwo.

Myślę, że każdy ma prawo, a nawet obowiązek marzenia o wielkości swojego narodu, tyle że można tę wielkość zdefiniować tak, aby nie była wymierzona w innych. Dla mnie historia Polski, wielkość narodu polskiego wyrażała się między innymi w otwartości na innych, w umiejętności myślenia w kategoriach narodu politycznego, a nie tylko genetycznego.

Myślę, że wielkość narodu przejawia się też w zdolności do dobrego przywództwa w jakimś regionie. Przywództwo nie oznacza jednak tylko zabiegania o własne interesy, ale czasami wzniesienie się ponad własne, wąsko pojmowane interesy narodowe. Według mnie dzisiaj ►

► jest czas na trudną walkę o to, jak się widzi naród, czym on jest, jaki powinien być. Mamy bowiem do czynienia z sytuacją, kiedy wszyscy zaczynają mówić „po pierwsze, mój naród”. I zwróćmy uwagę, że to jest fala narastająca, bo ludzie oczekują od przywódców politycznych, iż będą realizowali interesy narodowe. Mówi tak prezydent USA, mówi tak prezydent Polski, mówią tak coraz liczniejsi przywódcy na świecie – i to tacy, których nie sposób zlekceważyć, bo są wybrani w wyborach demokratycznych, czyli reprezentują punkt widzenia większości społeczeństwa. Nie wolno dać sobie odebrać troski o życie i funkcjonowanie narodu, lecz należy go zdefiniować inaczej niż ci, którzy czynią to w sposób niestychanie wąski, taki, powiedziałbym, czysto etniczny.

No właśnie, czy nie uważa pan, że dominująca obecnie definicja jest jednym z powodów, powodem, że rozkwita nietolerancja, ksenofobia, a nawet neofaszyzm?

Trzeba mieć swoją własną wizję narodu i używać tego określenia po swojemu, a nie uciekać od niego.

Może to jest właśnie ten błąd opozycji?

Myślę, że tak. Z troską obserwuję, że pojęcie „patriota polski” nie tylko zostaje

zawłaszczane przez skrajną prawicę, ale więcej, jest wypychane przez środowiska centrowe czy lewicowe jako nieomal obce. To szaleństwo! O obszar polskiego patriotyzmu, polskiej troski o naród trzeba się bić, a nie dawać go sobie zabrać jeszcze mówiąc, że to bardzo dobrze, bo to anachroniczne pojęcie.

Mnie się to kojarzy z kampanią Emmanuela Macrona, który powiedział: „Jestem francuskim patriotą, bo jestem Europejczykiem”

Ja bym powiedział nieco inaczej: „Jestem polskim patriotą, więc jestem Europejczykiem”. Bo integracja europejska jest w polskim interesie narodowym. Aż przykro powiedzieć, że polskim politykom jest czasami potrzebny przykład z dalekiej zagranicy, a wystarczyłoby, żeby czerpali z własnych wzorców.

Jakich na przykład?

Polskich. Postaw nowoczesnego, żarliwego patriotyzmu polskiego jest pełno. Dla mnie takim metrem z Sevres polskiego patriotyzmu jest Władysław Bartoszewski. To wzorec żarliwego patrioty, przeżywającego tradycję, polskość jako coś nieprawdopodobnie ważnego, a jednocześnie otwartego na innych, potrafiącego myśleć o potrzebie modernizacji narodu. To jest ten otwarty, nowoczesny

patriotyzm. Gdy trzeba to walki i poświęcenia, gdy trzeba to służyć poprzez pracę, budowanie mostów z innymi narodami.

W tej chwili lansowany jest wzór, nazwijmy go, martyrologiczny.

Jedni go przyjmują, a inni, zamiast się na niego obrażać, powinni proponować i propagować inny typ patriotyzmu. Jest to może niełatwe dla tak zwanych środowisk postępowych, ale może warto wspólnie odwoływać się do pojęcia „nowoczesny patriotyzm” bardziej wymierzony w przyszłość niż przeszłość. Trzeba jednak zrozumieć, że dla wielu naszych rodaków atrakcyjny i potrzebny jest bardziej tradycyjny wzorec patriotyzmu, taki powiedziałbym, trochę zaduszkowy. On też jest ważny.

Każdy, kto uważa się za patriotę, chciałby, żeby jego kraj był silny i niepodległy. W 2014 r. podał pan wzór na trwałą niepodległość Polski. Mówił pan, że składają się na niego cztery elementy: rodzina, konkurencyjność gospodarcza, bezpieczeństwo militarne i zdolność wzmacniania związków z integrującym się światem Zachodu. Jak dziś ocenia pan stan tych elementów?

To był fragment mojego wystąpienia w Sejmie po obchodach 25-lecia odzyskania wolności. Uważam, że jako „short program” polityczny zawiera to, o co chodzi. Kryzys demograficzny jest faktem. On trwa, bo mimo 500+, dzieci rodzi się mniej niż Polaków umiera. Stajemy w obliczu słabnięcia naszego potencjału, ponieważ znaczenie i siłę polityczną państw mierzy się między innymi demografią, która ma wpływ na rozwój gospodarczy czy na zdolności obronne.

Jeśli chodzi o konkurencyjność gospodarki, musi ona oznaczać zdolność do innowacyjności, bo cały świat się ściga i konkuruje. Próba wmawiania Polakom, że bez własnego wysiłku i bez ryzyka, które wiąże się z konkurencją, będziemy się dalej rozwijać i czuli bezpiecznie, jest po prostu nieuczciwością i głupotą. W polityce czasami trzeba mówić Polakom tak zwane oczywiste prawdy. Oczywiście prawdą jest to, że musimy



fot. Piotr Olczak

wyposażać Polskę i Polaków w zdolność skutecznego konkurowania z innymi krajami, innymi społeczeństwami i że od konkurencji ucieczki nie ma.

Przekaz, który teraz biegnie od władzy, jest trochę inny...

Niestety. Ten przekaz jest taki, że możesz nie pracować, a będziesz miał, bo tobie się należy. Nie musisz o nic zabiegać, nie musisz się wysilać... A przecież bogactwo, czy też siła każdego narodu bierze się tylko i wyłącznie z pracy obywateli, z niczego więcej. Praca może być lepiej albo gorzej zorganizowana, może być bardziej czy mniej efektywna, ale tylko z pracy bierze się zamożność narodu.

Myśli pan, że rząd to rozumie?

Rząd to rozumie doskonale, ale jeszcze lepiej rozumie, że można grać na naturalnych oczekiwaniach wielu ludzi, że coś kapnie, a nie że się coś zarobi. Na tym się zbija kapitał polityczny. Mówimy w tej chwili o strategicznych interesach narodu i państwa, a nie o bieżących interesach partii politycznej od wyborów do wyborów. Tu zawsze świetnie robi obietnicowanie, że obywatele wszystko dostaną, że w ogóle nie będą musieli pracować i że ktoś, nie wiadomo kto, zadba o ich przyszłość i bezpieczeństwo, a także ich dzieci i wnuków. Trzeba więc przypominać, że w demokracji obywatele dźwigają główną część odpowiedzialności za swój własny los.

Zostały jeszcze dwa filary – jeden z nich zniszczony, a przynajmniej poważnie nadwężony za przyczyną rządu PiS, a szczególnie ministra Macierewicza. Polskie siły zbrojne są w stanie dramatycznym – zatrzymane procesy modernizacyjne, pieniądze wydawane nie na technikę zbrojną, tylko na samoloty dla VIP-ów albo na jakieś pomysły, nie mające istotnego wpływu na nasze bezpieczeństwo.

Polska, jako sojusznik, powoli traci wiarygodność. A w poprzednich latach nowych krajów Sojuszu Północnoatlantyckiego byliśmy już w pełni wiarygodnym partnerem, bo Polska pierwsza podniosła – zawsze to z dumą podkreślam, za moją



fot. Piotr Olczak

przyczyną, bo byłem wtedy ministrem obrony w rządzie Jerzego Buzka – poziom finansowania do 2 proc. PKB i pierwsza uruchomiła wielkie programy modernizacji technicznej. Miałem satysfakcję, kiedy prezydent Obama stawiał Polskę za wzór wszystkim innym krajom europejskim. Mieliśmy mocną pozycję, a dzisiaj ją straciliśmy, bo była czystka w armii, bo zostały zmarnowane pieniądze, zatrzymane procesy modernizacyjne – nie ma okrętów dla Marynarki Wojennej, nie ma śmigłowców, raket itd.

I na koniec: najważniejszym filarem naszej niepodległości była, jest i zawsze będzie przynależność do świata zachodniego. Krzysztof Skubiszewski, pierwszy niekomunistyczny minister spraw zagranicznych Polski, kiedy rozpoczął w imieniu rządu polskiego starania o członkostwo w Unii Europejskiej, w polskim parlamencie, to był chyba 1992 rok, powiedział w ten sposób: „Wysoka Izbo, analizując doświadczenia Polski jedno jest pewne, że od XVIII wieku Polska stoi w obliczu prostego wyboru: że albo jest europejska, albo moskiewska”.

Przynależność do świata zachodniego to także przynależność do świata wolnego rynku, a przede wszystkim udział w integracji europejskiej. Dzisiaj podejmowana jest próba rozluźnienia naszych relacji z Unią Europejską, a symbolem tego procesu jest i pozostanie na zawsze wyprowadzenie przez polską premier z Kancelarii Prezesa Rady Ministrów sztandarów Unii Europejskiej. Pani Szydło zrobiła to w imieniu Polski rządzonej przez PiS i w świecie została o tym trwała pamięć. Za tym symbolem poszły inne działania, które realnie osłabiają siłę naszego związku z UE i naszą pozycję w Unii.

My nie jesteśmy na Wyspach Brytyjskich, my jesteśmy na kresach wschodnich świata zachodniego, dlatego zamiast grymasić na Unię musimy zakopać się w proces integracji europejskiej po sam czubek polskiej głowy, bo nie ma innego sposobu na bezpieczeństwo, na niepodległość, na rozwój. Polska już raz niepodległość straciła ze względu na osamotnienie w 1939 roku. Przynależności do UE nie zastąpi żaden sojusz polityczny z Węgrami, którzy flirtują z Putinem. ■

ŚWIĘTO BARDZO NIEOCZYWISTE

11 listopada nie był i nie jest dniem, który łączy Polaków. I nie będzie nim, dopóki nie zmierzymy się z polskimi paradoksami, które to akurat święto doskonale pokazuje.

Maria Lewandowska



Wielki Pochód Narodowy, listopad 1918 r., fot. polona.pl

A przede wszystkim – dopóki nie zastąpimy mitów faktami. Historycy są zgodni, że odzyskiwanie niepodległości nie było jednorazowym aktem lecz procesem, który nie dość że rozciągnięty w czasie, to jeszcze toczył się w różnych miejscach. Tworzyły go ścierające się ze sobą i często sprzeczne koncepcje na temat drogi do niepodległości, zawierania

sojuszy w tej walce czy w końcu kształtu przyszłego państwa. Cel był wspólny: Polska będąca suwerennym krajem, czyli takim, w którym nie będą rządzili zaborcy.

Ale jaka ta Polska miała być, kto ma w niej rządzić i na jakich zasadach – tu już zgody nie było. Kiedy więc niepodległość stała się faktem, rozpoczęła się walka o rząd polskich dusz. Istotną rolę w tej walce

odegrało tworzenie mitu założycielskiego, czyli ustalenie daty, kiedy to odzyskanie niepodległości będzie świętowane. Przypieczętowała ten mit założycielski ustawa z 23 kwietnia 1937 roku, ustanawiająca 11 listopada rocznicą odzyskania niepodległości. Warto ją przytoczyć: „Dzień 11 listopada jako rocznica odzyskania przez naród Polski niepodległego bytu państwowego i jako dzień po wsze

czasy związany z wielkim imieniem Józefa Piłsudskiego, zwycięskiego Wodza Narodu w walkach o wolność Ojczyzny – jest uroczystym świętem niepodległości”.

Spór o mit

Ustawa przyjęta została w niemal 19 lat po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Przez Sejm, w którym większość miał obóz sanacyjny i który na pytanie „jaka ma być Polska” udzielał jasnej odpowiedzi opartej na тезach włoskiego ekonomisty i socjologa markiza Vilfredo Damasco Pareto. Jej podstawą był podział społeczeństwa na dwie kategorie – większość i dominujące nad nią elity.

Elitą byli ci, którzy o niepodległość walczyli zbrojnie, czyli legionieści. O tym, że byli nierozumiani i niedoceniani przez społeczeństwo, a jednak najbardziej predestynowani do sprawowania władzy, mówi jedna ze zwrotek legionowej pieśni „Pierwsza Brygada”:

*„Inaczej się dziś zapatrują,
I trafić chcą do naszych dusz,
I mówią, że nas już szanują,
Lecz właśnie czas odwetu już!”*

11 listopada był zatem świętem legionistów, których symbolem i bohaterem („A z nami był nasz drogi wódz!”), był Józef Piłsudski. Oni obchodzili 11 listopada jako święto odzyskania niepodległości już w 1919 roku. I byli w tym osamotnieni, bo zarówno narodowcy Romana Dmowskiego, jak socjaliści Ignacego Daszyńskiego czy ludowcy Wincentego Witosa kwestionowali tę datę. Kontestowali też legionowe obchody 11 listopada.

Data Dnia Niepodległości i jej symbolika była bowiem ważna właśnie dla tworzenia mitu założycielskiego. A kto miał mit, ten miał rząd dusz i realną władzę. Chodziło więc o symboliczne określenie, czyja bardziej jest Polska i kto ma dla niej większe zasługi, a więc mówiąc krótko – kto w istocie jest „Ojcem Niepodległości”.

Propozycja historyka Marcelego Handelsmana, by dniem niepodległości Polski ustanowić 5 listopada, tego dnia bowiem w 1916 r. cesarze Niemiec i Au-

stro-Węgier proklamowali powstanie Królestwa Polskiego – państwa „samodzielnego z dziedziczną monarchią”, była nie do przyjęcia dla żadnego z ugrupowań politycznych. To poniekąd rozumiało, bo faktycznie Królestwo Polskie nie było samodzielnym państwem, choć... to właśnie organem Królestwa Polskiego była Rada Regencyjna, która 11 listopada 1918 r. przekazała władzę wojskową oraz naczelne dowództwo podległych jej wojsk polskich Józefowi Piłsudskiemu, a 12 listopada powierzyła mu misję utworzenia rządu narodowego.

Dlaczego więc wybrano 11 listopada właśnie? „Niejako z konieczności” – jak pisał monarchista, ale też wierny zwolennik Marszałka Stanisław Cat-Mackiewicz. Ten sam, który twierdził, że „w okresie Wielkiej Wojny obie orientacje – antyrosyjska Piłsudskiego i antyniemiecka Dmowskiego – spełniły swe zadania i w równej mierze przyczyniły się do odzyskania przez Polaków własnego państwa. Tyle, że ta teza, choć państwowotwórcza, była absolutnie niepolityczna, bo w wyścigu do władzy zwycięzca mógł być tylko jeden.

Obozy Dmowskiego i Piłsudskiego – najsilniejsze na scenie politycznej – musiały się ze sobą liczyć, by zachować równowagę pozwalającą na dobrą pozycję wyjściową w ostatecznym wyścigu. Dlatego

w przedbiegach odpadły propozycje ludowców, by niepodległość czcić 28 października, kiedy to w 1918 r. w Krakowie ukonstytuowała się Polska Komisja Likwidacyjna kierowana przez lidera PSL „Piast” Wincentego Witosa. Swojej daty nie przeforsowali też socjaliści, którzy proponowali 7 listopada, gdy w 1918 r. w Lublinie został utworzony Tymczasowy Ludowy Rząd Republiki Polskiej. Jego manifest nie tylko proklamował niepodległość. Gwarantowano w nim republikański charakter odradzającej się Polski i ogłaszano zwołanie konstytuancy, czyli parlamentu. Manifest zapowiadał także wprowadzenie postępowych reform społeczno-ekonomicznych.

Kruchy kompromis

11 listopada był kompromisową datą dla najsilniejszych ugrupowań – narodowych demokratów Dmowskiego i legionistów Piłsudskiego. Tyle, że dla każdego z tych ugrupowań oznaczała ona coś innego. 11 listopada to dzień podpisania rozejmu w Compiègne kończącego I wojnę światową – pieczętujący klęskę Niemiec. Dla narodowców to triumf koncepcji Romana Dmowskiego, który w swych politycznych kalkulacjach stawiał na Anglików i Francuzów, a na konferencji pokojowej w Paryżu wraz z Ignacym Paderewskim wynegocjował przywrócenie Polski na mapę Europy. ►



Wielki Pochód Narodowy, listopad 1918 r., fot. polona.pl



Łuck, 11 listopada 1937 r., fot. polona.pl

► Dla legionistów ta data była do zaakceptowania ze względu na przejęcie w tym dniu przez Piłsudskiego zwierzchnictwa nad wojskiem polskim.

Dla polityki pamięci legionowego czynu zbrojnego oraz kultu żołnierza walczącego i ginącego za Polskę fundamentalną datą był co prawda 6 sierpnia 1914 r. czyli data wymarszu I Kompanii Kadrowej z krakowskich Oleandrów, wkroczenia do Królestwa, by podjąć walkę z carską Rosją. Dla większości Polaków ta data nie miała jednak rangi tak silnego symbolu jak dla legionistów.

*"Krzyżeli żeśmy stumanieni,
nie wierząc nam, że chcieć to móc
Leliśmy krew osamotnieni.
A z nami był nasz drogi wódz"*

— śpiewali legionieści. Na tym poczuciu osamotnienia budowali elitaryzm, a z czasem udało się 11 listopada związać wyłącznie z czynem legionowym i Józefem Piłsudskim. Kto dziś w Polsce pamięta o rozejmie z Compiègne? Do przełamania owego kruchego kompromisu, jakim pierwotnie była data

11 listopada, przyczynili się zresztą sami narodowcy, konsekwentnie kontestując obchody święta niepodległości. Chichotem historii jest zatem, że współczesne marsze narodowców organizowane są właśnie 11 listopada i zaczynają się przy pomniku... Romana Dmowskiego.

Polityka historyczna

Obchody 11 listopada w okresie 20-lecia miały zdecydowany wojskowy charakter. W 1920 r., po zwycięskiej Bitwie Warszawskiej, legionieści wręczyli Józefowi Piłsudskiemu buławę marszałkowską. W miastach i miasteczkach odsłaniano pomniki upamiętniające poległych legionistów. Tradycyjnie odbywały się w tym dniu wojskowe defilady.

Po przewrocie majowym, kiedy Piłsudczycy w wyniku zamachu stanu zdobyli władzę, 8 listopada 1926 r. prezes Rady Ministrów Józef Piłsudski wydał okólnik ustanawiający 11 listopada dniem wolnym od pracy dla urzędników, a piłsudczykowska prasa pisała o „ósmej rocznicy wypędzenia z Polski okupantów oraz powrotu z więzienia magdeburgskiego

budowniczego Niepodległej Polski Józefa Piłsudskiego”.

Wprawdzie Piłsudski wrócił do Warszawy 10 listopada, jednak uznano, że fakty powinny służyć przekazowi polityki historycznej, mającej ukształtować nowe społeczeństwo. Jeśli przeszkadzają, to... tym gorzej dla faktów. Centralną postacią przekazu był marszałek Józef Piłsudski, uosabiający ideały legionowe, które stać się miały ideałami nowego państwa.

Z okazji 10. rocznicy odzyskania niepodległości warszawski plac Saski zyskał imię Józefa Piłsudskiego. Przez Stare Miasto przeszedł pochód żołnierzy odtwarzających historyczne oddziały walczące o wolność Polski. W 1932 r., kiedy 11 listopada na pl. Unii Lubelskiej w Warszawie wzniesiono pomnik lotników związany ze Stronnictwem Chrześcijańsko-Narodowym, „Kurjer Warszawski” komentował, że jeśli co roku będzie wznoszony jakiś pomnik, Warszawa zmieni się w największe lapidarium Europy. W tym samym roku Ministerstwo Wyznań i Oświecenia Publicznego ustanowiło 11 listopada dniem wolnym od

nauki w szkołach, „który powinien być wykorzystywany do celów wychowawczego oddziaływania na młodzież w duchu obywatelsko-państwowym”.

W latach 30. 11 listopada miał już państwowy charakter. „Sprzyjał mobilizowaniu wojska – wspólna rocznica niezależnie od dat pułkowych i bitewnych oraz młodzieży, odwołaniu się do lojalności wobec państwa” – pisze Adam Dobroński w „Obchodach Święta Niepodległości w II Rzeczypospolitej”. Po śmierci Marszałka, kiedy obóz sanacyjny się podzielił, ustawa ustanawiająca 11 listopada świętem narodowym miała w symboliczny sposób świadczyć o jedności państwa, skupionego wokół bohatera – Józefa Piłsudskiego.

On sam początkowo również miał wątpliwości związane z datą święta niepodległości. Podczas wykładu w 1924 r. proponował, by jako datę powstania niepodległego państwa uznać 28 listopada 1918 r. – dzień, w którym zarządził wybory do Sejmu. Pod rządami ustawy święto odbyło się dwukrotnie. Kontestowane przez opozycję.

Historyczne łamańce

W czasie II wojny światowej obchodzenia 11 listopada zabronili okupanci. W 1944 r. w Lublinie, siedzibie podległego sowieptom Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, urządzono paradę żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego i obchody na przedwojenną modłę, wraz z mszą. Komunistyczne władze szybko jednak to święto zlikwidowały, uznając je za „sanacyjne i burżuazyjne”. A jednak o spuściznę II RP postanowiły zawalczyć.

W 1968 r. w 50 rocznicę odzyskania niepodległości władze zorganizowały w Lublinie obchody... rocznicy powstania rządu Ignacego Daszyńskiego, a premier PRL Józef Cyrankiewicz przekonywał, że rząd PKWN to „nasz drugi rząd lubelski”. Władza znów szukała legitymizacji swojego założycielskiego mitu. Miała być nią ciągłość państwa polskiego.

10 lat później w 1978 r. „Trybuna Ludu” pod nagłówkiem „Polska Ludowa uwieńczeniem drogi rozwojowej narodu” przy-

pominała rząd Daszyńskiego i chłopską Republikę Tarnobrzeską z 1919 r. Radio puściło zaś „Pierwszą Brygadę”, tyle że w wersji instrumentalnej – bez słów. O Marszałku oczywiście w komunistycznym państwie mowy być nie mogło.

A jednak była, bo opozycja, Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz KOR zorganizowały w Warszawie demonstrację, na której Pierwszą Brygadę odśpiewano. Tak legionowy mit walki zbrojnej zaadaptował ruch z natury pokojowy! Przed Grobem Nieznanego Żołnierza przemawiali Bronisław Komorowski, Andrzej Czuma, Wojciech Ziębiński i Józef Janowski, za co sędzia Andrzej Kryże skazał wszystkich na miesiąc więzienia.

Władza zaczęła konsekwentną walkę z opozycją o to, kto ma prawo do święta niepodległości. W 1981 roku kwiaty na Grobie Nieznanego Żołnierza złożył... przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński, Kazimierz Barcikowski z Biura Politycznego KC PZPR i lider PRON Jan Dobraczyński. Pochód zorganizowany przez demokratyczną opozycję na pl. Zamkowym rozpędziło ZOMO.

W 70. rocznicę na siedzibie KC zawisło hasło „1918-1988 zawsze Polska”. W Krakowie ulicom nadano imiona Józefa Piłsudskiego i Antoniego Stawarza, o czym

poinformowano w Dzienniku Telewizyjnym. 11 listopada, kiedy na Krakowskim Przedmieściu orkiestra wojskowa grała „Pierwszą Brygadę”, studenci z NZS na rusztowaniach przed Uniwersytetem tańczyli kankana, żeby zakłócić wykonanie utworu przez komunistyczne wojsko. Na to nie pozwalali sobie studenci kontestujący legionowe obchody w II RP.

I choć już na początku 1989 r. Sejm przywrócił 11 listopada rangę święta narodowego, ustawowo zgody i jedności zaprowadzić się nie udało. Ten dzień po wielokroć zmieniał polskie miasta w bitewne pola. Swojej legitymizacji świętem niepodległości szukali i współcześni narodowcy, i zakapturzeni kibole.

– Teraz nie ma już chyba ludzi, którzy osobiście pamiętają 1918 rok. Skoro więc teraz jest to rzeczywiście tylko symboliczne święto, bez żywej pamięci, to wydawałoby się, że będzie łączyć jeszcze bardziej. Paradoksalnie tak nie jest – mówił w wywiadzie dla „Newsweeka” Wojciech Markert, kurator treści historycznych na wystawie stałej w Muzeum Józefa Piłsudskiego. A może jest tak, że skoro to święto nigdy nie łączyło, choć wszyscy starali się zaklinać rzeczywistość, to najwyższy czas po 100 latach pochylić się nad nim, nad naszą historią i poszukać odpowiedzi na pytanie – dlaczego? ■

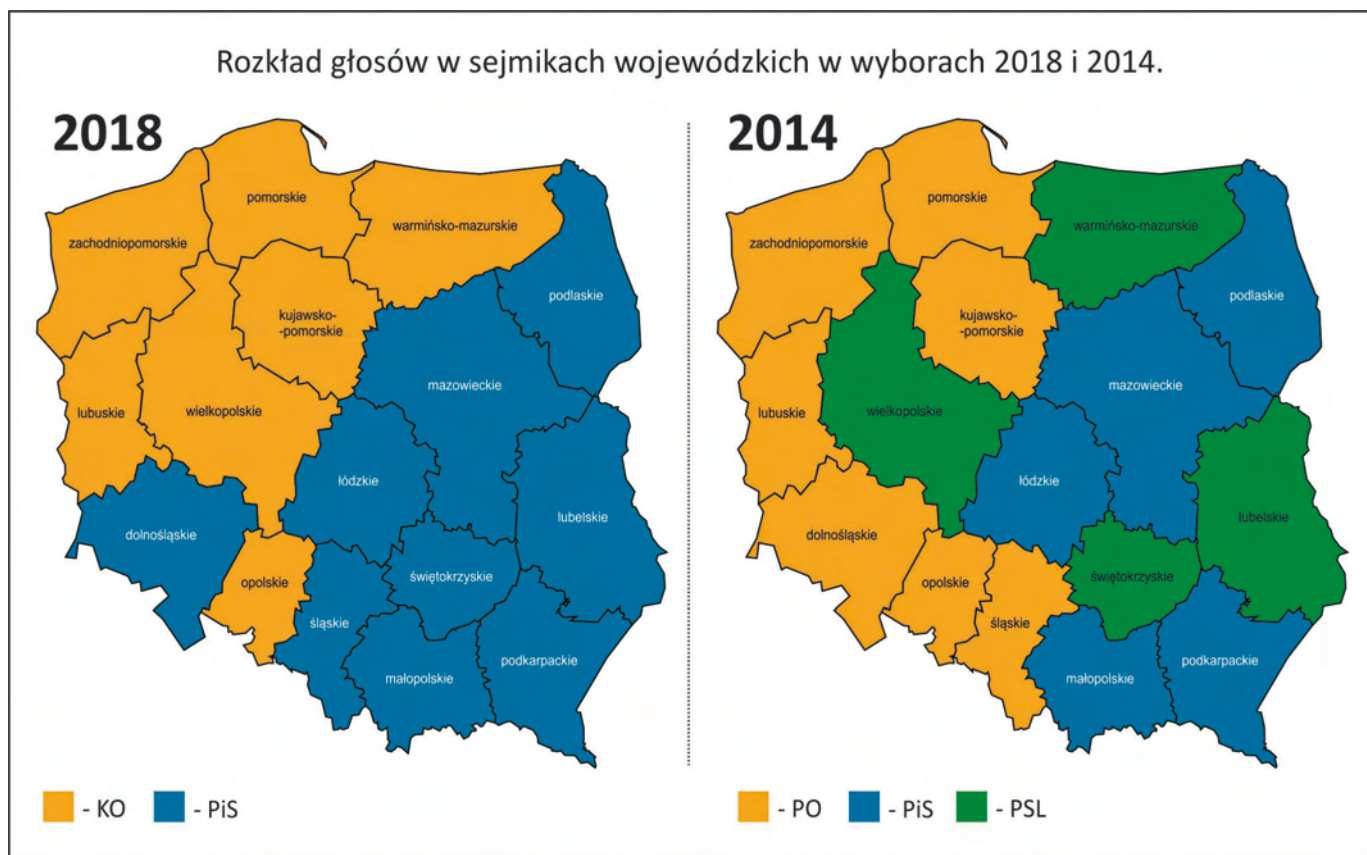


Policja zabezpieczająca marsz (2012) fot. Wistula, źródło: wikipedia.org

WYBORY SAMORZĄDOWE – ZWYCIĘSTWO CZY STATUS QUO?

Wybory samorządowe są pierwszym od 2015 roku sprawdzianem zarówno dla opozycji, jak i obozu rządzącego. Dlatego należy zadać sobie pytanie – co naprawdę ich wyniki pokazały w skali kraju?

Michał Ruszczyk



Opracowanie własne na podstawie danych PKW.

Jak poinformowała Państwowa Komisja Wyborcza, w wyborach do sejmików wojewódzkich, które najpełniej pokazują skalę poparcia dla poszczególnych partii, Prawo i Sprawiedliwość wygrało zdobywając 34,29 proc. głosów, czyli o ponad siedem punktów procentowych więcej niż w poprzednich wyborach samorządowych. Druga w kolejności Koalicja Obywatelska uzyskała ostatecznie 27,1 proc. głosów. Daje tu się zauważyć dużo większa niż w 2014 r. dysproporcja między wynika-

mi obu największych ugrupowań. Wtedy wyniosła zaledwie 0,5 proc. głosów.

Oceniając wyniki wyborów, warto pamiętać o sposobie prowadzenia kampanii przez obóz rządzący. Wykorzystał on bowiem wszystkie dostępne mu środki i metody. Kampanie niektórych kandydatów finansowano wprost z pieniędzy publicznych, a całkowicie podporządkowana PiS TVP intensywnie promowała kandydatów partii na prezydentów dużych miast. Do tego trzeba dołożyć bardzo aktywny udział

w kampanii premiera Mateusza Morawieckiego, który obiecywał współpracę między rządem a samorządami, ale tylko z włodarzami wywodzącymi się z PiS.

Miasta obronione

Można powiedzieć, że wielkim sukcesem ugrupowań prodemokratycznych jest obronienie dużych miast przed kandydatami nachalnie promowanymi przez obecny rząd. Szczególnym sukcesem okazało się to, że wielu opozycyjnych kandy-

datów na prezydentów miast wygrało już w I turze i to w sytuacji, gdy kandydaci PiS-u używali szantażu, obiecując finansowanie metra, dróg, mostów itd. ze środków rządowych w celu nakłonienia wyborców do zagłosowania na obóz rządzący.

Druga tura wyborów przyniosła wzmocnienie tego zjawiska. Według wstępnych wyników, PiS nie zdołał wygrać również w mniejszych ośrodkach, nawet na będącym jego twierdzą Podkarpaciu. Przegrał w Przemyślu, Mielcu, Sanoku, Dębicy, Lesku i Łańcucie. W Nowym Sączu nie pomogła nawet wizyta prezydenta Dudy. Wygląda zatem na to, że największym polskim miastem rządzonym przez burmistrza z PiS będzie Chełm.

Przegrana w sejmikach

Natomiast klęską opozycji i niepokojącym prognostykiem na wybory parlamentarne w 2019 r. oraz prezydenckie w 2020 r. jest wygrana Prawa i Sprawiedliwości w sejmikach wojewódzkich. To pokazuje, że mimo zatrzymania „dobrej zmiany” w dużych miastach, Zjednoczona Prawica nadal cieszy się niesłabnącym zaufaniem społecznym, na które trudno znaleźć antidotum.

PiS uzyskało samodzielną większość w sześciu sejmikach (Podlaski, Lubelski, Łódzki, Świętokrzyski, Podkarpacki, Małopolski). W trzech kolejnych jest najsilniejszym ugrupowaniem (Mazowiecki, Śląski i Dolnośląski), tu jednak wszystko zależy od toczących się rozmów koalicyjnych. Wiadomo jednak, że próbuje przekonać do siebie zarówno silnych na Dolnym Śląsku Bezpartyjnych Samorządowców, jak radnych z PSL, które poniosło największe straty w porównaniu z rokiem 2014. Teraz w dużej mierze od postawy jej polityków będzie zależało, kto ostatecznie obejmie władzę w kolejnych sejmikach, Koalicja Obywatelska ma bowiem samodzielną większość tylko w województwie pomorskim.

Rada Warszawy i Rady Dzielnic

Zastanawiająca jest również sytuacja w Radach Dzielnic w Warszawie. Pokazuje ona, że zawiązanie Koalicji Obywatelskiej przez Platformę Obywatelską, Nowoczes-

ną i Inicjatywę Polską nie doprowadziło do wielkiego przełomu na scenie politycznej. Oficjalne wyniki PKW pokazują, że w porównaniu z wynikami z 2014 r. w niektórych warszawskich dzielnicach obóz rządzący nie stracił ani jednego radnego lub stracił ich niewielu. Taką sytuację można zaobserwować w czternastu dzielnicach (Bemowo, Białołęka, Mokotów, Ochota, Praga-Południe, Praga-Północ, Rembertów, Śródmieście, Targówek, Ursynów, Wesoła, Wilanów, Wola i Żoliborz). Natomiast w innych radach dzielnic nawet zyskał, podobnie jak Koalicja Obywatelska (Ursus i Wawer). Nowe rozdanie zaistniało natomiast w Radzie Warszawy, gdzie Koalicja Obywatelska zyskała siedem mandatów, a PiS stracił pięć.

Nie ma jednego zwycięzcy

Na przykładzie sukcesów Koalicji Obywatelskiej w miastach można powiedzieć, że w sposób symboliczny została pokonana maszyna propagandowa PiS-u. Można zatem pokusić się o stwierdzenie, że PiS osiągnął pułap swoich możliwości i nie jest w stanie dalej poszerzać swojego elektoratu.

Wyniki wyborów pokazały również, że w miastach pozostaje status quo między Zjednoczoną Prawicą a opozycją.

Natomiast w skali kraju PiS znacznie poszerzył swój stan posiadania kosztem zarówno Platformy, a właściwie Koalicji Obywatelskiej, jak i – przede wszystkim – Polskiego Stronnictwa Ludowego. Zważywszy jednak, że to właśnie przeciwko PSL wytoczono najcięższe działa, można powiedzieć, że atak nie całkiem się udał.

Sukces opozycji w miastach jest bezsporny, jednak wbrew oczekiwaniom polityków i działaczy Koalicji Obywatelskiej nie udało się poprawić wyniku z 2014 r., a więc połączenie potencjałów Platformy Obywatelskiej i Nowoczesnej nie dało oczekiwanego efektu synergii. Natomiast wygrana PiS-u w sejmikach wojewódzkich może być niepokojącym prognostykiem na zbliżające się wybory parlamentarne i prezydenckie, gdyż wyniki pokazują, że narracja rządzących i ich program „dobrej zmiany” niezmiennie podoba się znaczącej części społeczeństwa.

Nieźły wynik Koalicji jest również efektem ogromnej mobilizacji elektoratu i wynikającej z tego wysokiej (jak na polskie realia) frekwencji wyborczej (54,96 proc.) Jeżeli politykom udałoby się utrzymać taką mobilizację społeczną do 2020 r. to jest szansa, że PiS nie będzie rządził przez kolejne kadencje. ■

Dzielnice	Radni KO 2018	Radni PiS 2018	Radni PO 2014	Radni PiS 2014
Bemowo	11	5	7	7
Białołęka	11	5	12	5
Bielany	10	6	12	11
Mokotów	19	8	15	10
Ochota	10	6	8	7
Praga-Południe	15	10	13	11
Praga-Północ	11	9	7	9
Rembertów	8	4	3	4
Śródmieście	13	10	11	10
Targówek	10	10	9	11
Ursus	8	7	7	5
Ursynów	13	5	11	5
Wawer	10	7	12	6
Wesoła	8	5	8	7
Wilanów	13	2	11	3
Włochy	9	5	6	9
Wola	15	8	14	10
Żoliborz	10	6	8	8

Tabela 1: Liczba radnych wprowadzonych do Rad Dzielnic przez Koalicję Obywatelską (w 2014 Platformę Obywatelską) oraz Prawo i Sprawiedliwość w wyborach samorządowych 2018 i 2014 (opracowanie własne na podstawie danych PKW)

Rada Miasta Warszawy	Radni KO 2018	Radni PiS 2018	Radni PO 2014	Radni PiS 2014
9 okręgów	40	19	33	24

Tabela 2: Liczba radnych wprowadzonych do Rady Warszawy przez Koalicję Obywatelską (w 2014 Platformę Obywatelską) oraz Prawo i Sprawiedliwość w wyborach samorządowych 2018 i 2014 (opracowanie własne na podstawie danych PKW)

REPRYWATYZACJA, CZYLI ZGUBNE SKUTKI ZANIECHANIA

Gdy państwo pozostawia nieuregulowane obszary, zaczyna funkcjonować „szara strefa”. Wieleletnie utrzymywanie takiego stanu powoduje komplikacje nie tylko prawne. Cierpią ludzie, których dotyczą skutki zaniechania.

Ewa Krawczyk-Dębiec



fol. Ewa Krawczyk-Dębiec

Zakończenie II wojny światowej to początek liczenia strat i wysuwania wzajemnych roszczeń. Warszawa jest zniszczona w 65 proc., a w jej odbudowie ma pomóc wydany w październiku 1945 r. „dekret Bieruta”. Grunty w przedwojennych granicach miasta przechodzą na własność gminy m.st. Warszawy, z wyjątkiem znajdujących się na nich budynków i innych przedmiotów. Te pozostają własnością dotychczasowych właścicieli.

Rozpoczyna się wielkie odgruzowywanie i sprzątnięcie Warszawy, ale i zamieszanie związane z przedwojenną własnością gruntów i budynków.

Legislacyjna dziura

Zmiana ustroju Polski w 1989 r. przynosi problem zadośćuczynienia właścicielom poszkodowanym przeprowadzoną nacjonalizacją i dekretem Bieruta. Jedynie mienie zabużańskie doczeka się

w 2003 r. rozwiązania ustawowego. W pozostałych przypadkach decyzje o zwrotach wydawane są na podstawie ustawy o gospodarowaniu nieruchomościami i Kodeksu postępowania administracyjnego, a lukę legislacyjną wypełniają orzeczenia sądowe. W 1990 r. prezydent miasta stołecznego wydaje pierwszą decyzję reprivatyzacyjną.

Próby uchwalenia ustawy reprivatyzacyjnej podejmują bezskutecznie

wszystkie rządy – SLD i PSL, PiS oraz PO. W 2016 r. Sejm uchwala, przygotowaną z inicjatywy władz Warszawy, tzw. małą ustawę reprivatyzacyjną. Miasto nie musi już zwracać placówek oświatowych, parków, obiektów ochrony zdrowia oraz obiektów i urządzeń transportu publicznego.

Luka legislacyjna powoduje pojawienie się „handlarzy roszczeń”, uzyskujących bezpodstawne zwroty nieruchomości. Stawka jest wysoka, gdyż warszawskie grunty są cenne. Dochodzi czynnik ludzki, bo na wielu gruntach znajdują się kamienice z lokatorami. Od 1990 r. zwrócono łącznie 919 nieruchomości wraz z mieszkaniami, a reprivatyzacja – według danych warszawskiego Ratusza – dotknęła ok. 17 tys. osób. Część z nich zostaje brutalnie zmuszona do walki o dach nad głową z wynajętymi przez nowych właścicieli „czyszcicielami kamienic”.

Od 2007 r. uchwały Rady m.st. Warszawy mają łagodzić lokatorom skutki zwrotów nieruchomości. W 2017 r. utworzona zostaje – na podstawie ustawy o szczególnych zasadach usuwania skutków prawnych decyzji reprivatyzacyjnych dotyczących nieruchomości warszawskich, wydanych z naruszeniem prawa – Komisja do spraw reprivatyzacji nieruchomości warszawskich, mająca wyjaśnić nieprawidłowości dotyczące zwrotów.

Policzyć sprawiedliwie

Konstytucja chroni nasze prawo własności i prawo dziedziczenia, dlatego pojawiające się w dyskusji o reprivatyzacji postulaty, by nie zwracać nieruchomości lub nie wypłacać odszkodowania ich właścicielom, mogą być dyskusyjne. W 2004 r. warszawscy urzędnicy oszacowali straty materialne poniesione przez miasto i jego mieszkańców w czasie II wojny światowej na 18,2 mld zł. (wg wartości złotego z sierpnia 1939 r.), co wówczas stanowiło kwotę 45,3 mld dolarów.

Co, jak i komu należy policzyć? Ewa Andruszkiewicz – działaczka Warszawskiego Stowarzyszenia Lokatorów im. Jolan-

ty Brzeskiej – zwraca uwagę, że prawie wszystkie kamienice w Warszawie przed wojną były obciążone hipoteką, a państwo polskie nigdy nie zwolniło z zadłużenia przedwojennych właścicieli. W 1945 r. część Warszawy była zburzona i ktoś musiał ponieść koszty wywieżenia gruzu, ekshumowania zwłok, odbudowy zniszczonych budynków, a w większości wypadków budowy nowych. Powinno to obciążać właściciela nieruchomości.

Gdyby wszystkie koszty i podatki były uczciwie podliczone, to zwroty kamienic nie należałyby się, a spadkobiercy musieliby wręcz jeszcze dopłacić. Dodatkowo nikt nie bierze pod uwagę dekretu z 1945 r. o wzbogaceniu wojennym. Wszystkie transakcje zawarte w czasie wojny obciążone były 70-procentowym podatkiem, którego nikt nie zapłacił. Koszty odszkodowań wypłacanych właścicielom, spadkobiercom lub osobom, które kupiły roszczenia do nieruchomości, wypłacane przez skarb państwa, ponoszą wszyscy obywatele.

Jak naprawić krzywdy?

Hanna Gospodarczyk z Partii Razem dopuszcza odszkodowanie w wysokości 10 proc. wartości nieruchomości, ale uważa, że nie powinno się ich zwracać w naturze. Trzeba uwzględnić pracę ludzi odbudowujących Warszawę i wyraźnie określić, komu chcemy naprawiać krzywdy historii. Szanując zapisane w Konstytucji prawo własności, należy pomyśleć inaczej o tym, czym jest społeczeństwo i wspólna własność.

Jeżeli zdecydujemy się przyznawać odszkodowania za odebrane nieruchomości, to jednocześnie należałoby wypłacać odszkodowania lokatorom za to, że byli dręczeni przez tych, którzy odzyskali kamienice i chcieli się ich pozbyć. Nie należy tego rozpatrywać w kontekście pogwałcenia konstytucyjnego prawa własności czy prawa dziedziczenia.

– To jest po prostu powiedzenie, że są rachunki krzywd w tym kraju, które trzeba w pewnym momencie przerwać i przestać się licytować, która rodzina więcej straciła podczas wojny, bo każda



fot. Ewa Krawczyk-Dębiec

polska rodzina podczas wojny coś straciła – mówi Hanna Gospodarczyk. Na gruntach objętych dekretem Bieruta odbudowano wspólnymi siłami budynki, uporządkowano teren. Nie można oceniać tylko z punktu widzenia kilku metrów kwadratowych ziemi sytuacji, że istnieje pewna wspólnota społeczna, która na tym gruncie budowała jakiś budynek, inwestowała tam i mieszkała, powstawał park, szkoła itp. Nie liczą się tylko zyski i grunt, ale też ludzie i ich praca na tym terenie.

Przeciwny zwracaniu nieruchomości w naturze jest też Adam Zieliński – członek Komisji ds. reprivatyzacji z rekomendacji ruchu Kukiz'15, choć uważa, że wywłaszczenie powinno być realizowane za słusznym odszkodowaniem. Jeżeli zastosowano procedurę wywłaszczenia z powodu interesu publicznego, to jest to ingerencja we własność na poziomie konstytucyjnym. W żadnym państwie nie ma takiej konstrukcji, że następuje wywłaszczenie, buduje się lotnisko lub autostradę, a za kilkadziesiąt lat zwraca nieruchomość w całości lub części. Uważa, że „słuszne odszkodowanie” to 10 procent aktualnej wartości tej nieruchomości. Jednak aby upewnić się co do wartości nieruchomości, należałoby zwołać grupę ekspertów lub przyjąć ►

► dużą ustawę reprivatyzacyjną określającą metodę wyceny.

Wystarczy nie kraść

Problem reprivatyzacji – według Oskara Hejki, warszawskiego radnego i członka Rady Społecznej przy Komisji ds. reprivatyzacji – wynikał z braku uczciwości osób w warszawskim Ratuszu, które uczestniczyły w procesie reprivatyzacji.

– Biorąc pod uwagę reprivatyzację w Warszawie, to co się działo z dekretem Bieruta i postępowaniami administracyjnymi, które prowadzili urzędnicy pani Hanny Gronkiewicz-Waltz, trzeba mieć świadomość, że jeżeli przewertowalibyśmy uczciwie wszystkie parę tysięcy zwrotów nieruchomości, dokonanych w Warszawie na przestrzeni 1990 – 2018 roku, to w około 70 proc. te zwroty nie zostałyby dokonane, gdyby urzędnicy trzymali się litery prawa i byłoby uczciwi. – twierdzi Oskar Hejka.

Nieruchomości, z powodu braku wymaganych dokumentów, nie byłyby zwracane nie tylko „handlarzom roszczeń”, ale także prawowitym spadkobiercom. Często było tak, że brakujące dokumenty nagle pojawiały się nie wiadomo skąd, tak jak przy reprivatyzacji nieruchomości przy ulicy Mokotowskiej, badanej przez Komisję weryfikacyjną ds. reprivatyzacji. Początkowo postępowanie w sprawie zwrotu było prowadzone przy udziale prawowitych spadkobierców. Urzędnicy dopatrzili się, że ich wniosek został złożony po terminie i wykluczało to pozytywną decyzję administracyjną. Zwrot nastąpił dopiero wówczas, gdy roszczenia do nieruchomości kupił handlarz roszczeń.

– To nie była reprivatyzacja, to było zwykłe cwaniactwo – ocenia Oskar Hejka. Gdyby te postępowania były prowadzone uczciwie, ograniczyłoby się znacznie krzywdę mieszkańców kamienic, które wpadały w ręce handlarzy roszczeń. Z pozostałymi przypadkami reprivatyzacyjnymi miasto stołeczne Warszawa poradziłoby sobie, szczególnie tam, gdzie musiałoby zapewnić lokale zastępcze.



fot. Ewa Krawczyk-Dębiec

Czy na pewno wystarczy nie kraść? Jakub Żaczek z Komitetu Obrony Lokatorów uważa, że istnienie idealnego urzędnika nie spowoduje, iż cały aparat państwowy będzie działał poprawnie. Tak nie będzie, dopóki nie zostanie uchwalone jakieś źródło prawa regulujące tę kwestię, a proces reprivatyzacji będzie sztukowany jedynie orzeczeniami sądowymi. Jeżeli przepis prawa wyraźnie nie zabroni zwrotu kamienic z lokatorami, a sądy będą orzekały zwroty, to władza wykonawcza będzie ich dokonywała. Dokładnie tak działała prezydent Hanna Gronkiewicz-Waltz – był prawomocny wyrok sądowy i musiała zwrócić nieruchomość, bo inaczej miasto stołeczne Warszawa płaciłoby ogromne odszkodowania. Tworzenie nowej linii orzeczni-

czej nie poprawi tej sytuacji, bo władza wykonawcza nie ma na to wpływu.

Reprivatyzacji zaszkodził zbytni formalizm. Mecenas Andrzej Zaleski uważa, że „prawo to nie tylko to, co zapisane jest w przepisach, ale także w klauzulach generalnych i normach, które obowiązują w naszym kręgu cywilizacyjnym, a nie są nigdzie spisane”. Gdyby osoby stosujące prawo wzięły to pod uwagę, nie byłoby żadnych podstaw prawnych do zwracania kamienic wraz z lokatorami.

Zwykły obrót wierzytelnościami?

Temat zwrotu nieruchomości pojawia się często, traktowany jako patologia oparta o handel roszczeniami do nieru-

chomości. Zdarzało się jednak, że ludzie z desperacji sami sprzedawali roszczenia, bo wiedzieli, że sami nic nie odzyskają. Jerzy Budzyn – wieloletni radny dzielnicy Śródmieście uważa, że każda sprawa skupowania roszczeń i zamiany ich na zwroty jest wątpliwa.

– Prawowici właściciele przez dwadzieścia pięć lub trzydzieści lat starali się o zwrot i nie mogli go uzyskać, a pan M. jak kupił, to dostawał w dwa lata tylko dlatego, że znalazł sobie właściwe dojsie do właściwych drzwi – zauważa Jerzy Budzyn. Roszczenia są rzeczą zbywalną w Polsce, bo prawo na to pozwala, ale organy administracyjne nie powinny brać takich roszczeń pod uwagę. Ustawa reprivatyzacyjna powinna zakazywać w takich wypadkach zwrotu nieruchomości, tak jak to było stosowane przy zwrocie mienia zabużańskiego.

Andrzej Grabowski ze Stowarzyszenia Obrony Mieszkańców Tykocińskie wie, że jeżeli nie ma właściciela lub spadkobierców albo nie można ich ustalić, nawet po uruchomieniu całego procesu poszukiwania, to nieruchomość staje się własnością skarbu państwa. Obwinia za niewłaściwie prowadzony proces reprivatyzacji sądy orzekające o zwrotach nieruchomości na rzecz osób, które nabyły roszczenia do nieruchomości.

– To jest gehenna ludzi mieszkających w budynkach, które objęte zostały reprivatyzacją. Ja walczę szesnaście lat o dach nad głową. Pięć procesów, eksmisje – wszystkie wygrane – mówi Andrzej Grabowski.

Łagodzenie skutków

Rada m.st. Warszawy przyjęła uchwałę o tzw. lokatorach wrażliwych, ułatwiając im otrzymanie lokalu zastępczego. Jakub Żaczek przypomina, była ona skutkiem wieloletniej presji środowisk lokatorskich. Nie jest to rozwiązanie satysfakcjonujące, bo żeby starać się o pomoc i lokal zastępczy, trzeba spełnić bardzo restrykcyjne warunki. Według Jana Budzyna, uchwała bardziej pomaga osobom przejmującym zabu-

dowane nieruchomości wraz z lokatorami niż tym, którym ta pomoc się należy. Przy braku ustawowego zakazu zwracania nieruchomości z zamieszkanyymi budynkami należało najpierw ludzi przenieść do innych mieszkań, a dopiero później reprivatyzować nieruchomości.

Adam Zieliński uważa, że wykorzystując istniejące przepisy można było umożliwić lokatorom pozostanie w lokalu, nawet przy zwrocie nieruchomości. Miałoby to być uzasadnione, jeżeli uznawałoby umowę najmu z takim lokatorem za ważną, powinno przejść na siebie obowiązek rozliczania czynszu bezpośrednio z beneficjentem reprivatyzacji. Najemcy powinni, tak jak dotychczas, uiszczać należności na rachunek miasta.

– Lokator komunalny nie umawiał się z właścicielem z lat czterdziestych XX wieku na to, że w XXI wieku będzie z nim miał umowę najmu komercyjnego, ale umówił się z miastem na zasadach ogólnych, że będzie miał ten lokal i na to, że będzie dokonywał nakładów, robił remonty w tym lokalu – mówi Adam Zieliński.

Twierdzi również, że wielu ludzi zostało oszukanych, gdyż dostało od miasta przydział lokalu, wyremontowało go za wszystkie swoje oszczędności, a często zadłużyło się na ten remont. Następnie ktoś odzyskał kamienicę i podniósł czynsz do wysokości uniemożliwiającej płacenie po to, żeby pozbyć się lokatorów. Jest przepis w ustawie o ochronie praw lokatorów, mieszkaniowym zasobie gminy i o zmianie Kodeksu cywilnego, zgodnie z którym miasto może ulokować lokatora komunalnego w budynku prywatnym. Niestety, nie stosuje się go.

Beneficjenci reprivatyzacji

Europejski Trybunał Praw Człowieka dokonując oceny reprivatyzacji w dawnych krajach komunistycznych uznał, że mają one swobodę co do uregulowania tych kwestii, także tego, czy znacjonalizowane majątki będą zwracane. Musi być jednak zachowana zasada równego traktowania obywateli danego kraju.

Polska nie uregulowała kwestii reprivatyzacji z wielu powodów. Adam Zieliński uważa, że uznaliśmy ciągłość działania PRL i wszystkich dekretów Bieruta. Już w latach 90. pojawił się dobrze zorganizowany kapitał zorientowany na pozyskanie znacjonalizowanych nieruchomości. Także funkcjonujące wówczas partie polityczne wzięły udział w prywatyzacji atrakcyjnych nieruchomości położonych w środku Warszawy.

Hanna Gospodarczyk podaje jeszcze jedną przyczynę – socjologiczną, wymagającą określenia, co jest naprawdę sprawiedliwe i której grupie społecznej chce się tę sprawiedliwość oddać. Według niej, było przyzwolenie na bezmyślne zwracanie nieruchomości przez warszawski ratusz. Polacy byli zbyt długo pozbawieni własności prywatnej i kiedy umożliwiono reprivatyzację, korzystali z niej bez względu na jakość dokumentów będących podstawą zwrotu. Uważano, że oddawanie własności nieruchomości jest po prostu sprawiedliwe.

Problemem jest też pozostawione po wojnie mienie bez spadkobierców, np. obywateli wyznania mojżeszowego. To też jedna z przyczyn, według Andrzeja Zaleskiego, dla których ciągle nie ma ustawy reprivatyzacyjnej.

Wpływ na kształt reprivatyzacji miały różne grupy interesów. Przed 1989 r. część z nich miała świadomość, że ustrój panujący w PRL skończy się i pilnowały, aby „kanały dystrybucji majątku były otwarte”. Po 1989 r. pojawiły się nadzieje na wyrównanie krzywd wyrządzonych przez PRL. Jednak jeżeli społeczeństwo ma ponieść koszty jakiegoś procesu, to należy się zastanowić, jacy interesariusze są w to zaangażowani. Reprivatyzacja to właściciele, spadkobiercy, lokatorzy i samorządy. W ocenie Oskara Hejki, konieczny jest „złoty środek” – jednym za coś uczynić, ale nie krzywdzić innych. ■

W artykule wykorzystano materiały z debaty „Reprivatyzacja: sprawiedliwość czy złodziejstwo” zorganizowanej w Warszawie w dniu 7 października 2018 r. przez Kluby Liberalne.

REPRYWATYZACJA OKIEM WŁAŚCICIELA I SPADKOBIERCY NIERUCHOMOŚCI

W 1945r. Warszawa była zniszczona w 65 proc., ale to się nie przekładało bezpośrednio na stan budynków. Były bowiem domy zniszczone w 100 proc. (Muranów, Stare Miasto), ale i w ogóle niezniszczone, (Aleja Przyjaciół, Koszykowa, willowy Mokotów, niektóre części Żoliborza). Dekret Bieruta objął jednak całe miasto, niezależnie od stanu zachowania budynków. Wielu właścicieli powróciło i zamieszkało w swoich domach, własnoręcznie łatając mury i reperując uszkodzenia. Do takich budynków władza zaczęła dokwaterowywać lokatorów, nie licząc się z właścicielem. Jeżeli właściciel był stary albo nieporadny, często wyprowadzał się ze względu na szkody ze strony lokatorów.

Nieprawdą jest, że wszystkie domy w Warszawie miały obciążoną hipotekę. Większość warszawskich ksiąg hipotecznych się zachowała i jest to do sprawdzenia. W latach 1937-39 w Polsce był boom gospodarczy i ludzie spłacali obciążone hipoteki, a ci, którzy nie byli w stanie, sprzedawali domy. Wiele osób dysponowało dużymi funduszami, które chętnie lokowało w nieruchomościach.

Nieprawdziwe jest również twierdzenie, że byli właściciele powinni byli, a nie zapłacili podatku „od wzbogacenia w czasie wojny”. Wszystkie podatki były płacone, bo ludzie mieli większe niż obecnie poczucie patriotyzmu i odpowiedzialności za państwo. Niemcy skrupulatnie przejęli urzędy skarbowe i egzekwowali wszystkie przedwojenne należności podatkowe oraz powstałe w okresie wojny. Kara za niepłacenie podatków była zbyt wysoka, żeby ryzykować. Przedwojenni właściciele nie musieli płacić podatku od wzbogacenia, bo posiadali te nieruchomości wcześniej albo mieli gotówkę, którą lokowali w nieruchomościach w obliczu koszarnej wojennej dewaluacji. W czasie wojny tracili, a nie wzbogacali się.

Duża część reprivatyzowanych domów nie wymagała w 1945 roku odbudowy lub remontu. Wiele z nich wyremontowali właściciele, zanim im domy zabrano. Dla budynków częściowo zniszczonych istnieją dokumentacje techniczne remontów i odbudowy. Jeżeli dom miał być reprivatyzowany, przeliczano poniesione przez państwo nakłady po aktualnych cenach materiałów budowlanych. Odzyskujący dom musieli zwrócić skarbowi państwa nakłady w dzisiejszej wysokości. Sumy szły w miliony złotych.

Odszkodowania wypłacane przez miasto na podstawie wyroków sądów nie obejmowały kwot za bezprawnie osiągnięte przez skarb państwa zyski z użytkowania budynków przez okres pięćdziesięciu lat, tylko za lokale sprzedane prywatnym użytkownikom. Skarb państwa najpierw zarobił, a później niejako zwracał właścicielom te sumy.

Zgodnie z przepisami, aby wykwaterować lokatora, trzeba mu udostępnić lokal zastępczy o podobnym standardzie. Byli właściciele, aby odzyskać realnie willę czy dom, musieli kupić mieszkańcom mieszkania. Często lokator dostający propozycję wykwaterowania mieszkał jednoosobowo na 100 m.kw., a właściciel w pokoiku przy rodzinie, mając czasami świadomość, że meble zdobiące salon lokatora były kupowane przez rodziców właściciela.

Patologie przy reprivatyzacji były. Mafia adwokacko-urzędnicza (urzędnicy zatrudnieni jeszcze przez Lecha Kaczyńskiego w wydziale w Urzędzie Miasta, który zajmował się zwrotami nieruchomości) przejmowała domy na szkodę klientów i mieszkających w kamienicach lokatorów. Albo przeciągali sprawy, żeby byli właściciele (na ogół starzy i zubożali) godzili się na groszowe odstępné i rezygnowali z domów, albo – jeśli byli właściciele lub ich spadkobiercy jednak postarali się o odzyskanie nieruchomości – przysyłali kilku kolejnych kupców oferujących niby troszkę więcej pieniędzy. Kiedy właściciele już nie było, walczyli z lokatorami z pominięciem zasad prawa czy przyzwoitości. Byli jednak chronieni przez urzędników, a i pewnie niektórych prokuratorów. Takich domów, gdzie niszczone lokatorów, według danych Zrzeszenia Właścicieli Nieruchomości, na łącznie dwa tysiące oddanych było pewnie kilkanaście, może kilkadziesiąt. Co do pozostałych reprivatyzacja następowała zgodnie z prawem.

Nie można oceniać całości reprivatyzacji poprzez losy garstki skrzywdzonych ludzi i przestępczych działań handlarzy roszczeń. Grupa lokatorów narzuciła swoją narrację, wzmacnianą przez PiS oraz śmierć pani Jolanty Brzeskiej, której nie spowodowała była właścicielka mająca 95 lat, lecz przestępca. Można się spierać co do zasadności zwrotów, ale karygodnym zaniedbaniem kolejnych ekip rządzących był brak ustawowego rozwiązania.

Imię i nazwisko znane redakcji

POLEXIT? CO WYROK TSUE OZNACZA DLA POLSKI

25 października prezes Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej oświadczył, że kraje, które nie podporządkują się orzeczeniom TSUE, decydują się dobrowolnie opuszczenie europejskiej wspólnoty.

Czy faktycznie nam to grozi?

Michał Ruszczyk

Sprawa nieprzestrzegania prawa oraz pogwałcenia zasady niezawisłości sędziów w ustawie o Sądzie Najwyższym została skierowana do Trybunału Europejskiego przez Komisję Europejską 24 września 2018 r. TSUE, na prośbę przewodniczącego Komisji Jean-Claude'a Junckera, miał rozpatrzyć sprawę w trybie przyspieszonym oraz zawiesić niektóre przepisy polskich ustaw. Po miesiącu analizowania ustaw oraz szukania naruszeń traktatów i prawa unijnego prezes Trybunału Koen Lenaerts podczas spotkania z dziennikarzami oznajmił, że państwa, które nie dostosują się do orzeczeń unijnych sądów, stawiają się ponad prawem wspólnoty i wpisują się w proces podobny do Brexitu.

Konfuzja w PiS

Wypowiedź Lenaerts oraz reakcja Jarosława Kaczyńskiego, który publicznie odniósł się do jego słów i orzeczenia TSUE mówiąc, że rząd będzie odwoływał się od wyroku Luksemburga, spowodowały w rządzie PiS dwugłos. Po powrocie sędziów do pracy niektórzy członkowie obecnej ekipy rządzącej twierdzą, że pierwsza prezes Małgorzata Gersdorf i pozostali sędziowie Sądu Najwyższego nadal są w stanie spoczynku (wiceminister sprawiedliwości Michał Wójcik dla TVN24). Natomiast pozostali wypowiadając się publicznie w kwestii zawieszenia niektórych przepisów ustawy o SN akceptują zalecenia Luksemburga (minister spraw zagranicznych Jacek Czaputowicz dla TVN24).

Wypowiedzi niektórych członków rządu oraz przedstawicieli kancelarii prezydenta, którzy twierdzą, że zaleceń Unii Europejskiej w sprawie ustawy o Sądzie Najwyższym nie trzeba natychmiast wcielać w życie (minister Paweł Mucha), są wysoce niepokojące. Można z nich bowiem wnioskować, że być może, tak samo jak w przypadku poprzedniego wyroku TSUE w sprawie wycinki w Puszczy Białowieskiej, może dojść do nałożenia kar finansowych lub nawet do wyrzucenia nas ze wspólnoty. Jednak trzeba zaznaczyć, że działania w puszczy nie łamały traktatów i wartości Unii Europejskiej w zakresie niezawisłości sądownictwa.

Groźne konsekwencje

Z wypowiedzi Koena Lenaerts wynika, iż polski rząd, ignorując instytucje europejskie, jest na dobrej drodze, by z powodu głupiej polityki „wstawania z kolan”, doprowadzić do Polesxitu. A tego nawet wyborcy PiS-u mogą nie znieść. Konsekwencje



fot. pixabay.com

„godnościowego” traktowania wartości unijnych mogą być wręcz tragiczne pod względem politycznym i gospodarczym.

Politycy PiS-u twierdzą, że Polska pod rządami ich ugrupowania bardziej liczy się na arenie międzynarodowej niż za czasów koalicji PO-PSL. Słowa Lenaerts obalają ten mit, gdyż najważniejsi przedstawiciele Unii Europejskiej pokazują Polsce, jakie miejsce we wspólnocie obecnie, na własną prośbę, zajmuje. A ono wyraźnie znajduje się w pobliżu drzwi do Polesxitu. Należy też zdać sobie sprawę z tego, że nikt nie będzie Polski zatrzymywał na siłę w Unii, jeżeli ta nie będzie przestrzegała podstawowych wartości i traktatów, które podpisała w 2004 roku.

Działania polskiego rządu i zaostrzający się spór z Brukselą oraz pozostałymi instytucjami europejskimi pokazują, że furtka do Polesxitu już została uchylona. I to wbrew deklaracjom prezesa Kaczyńskiego, że jego partia jest prounijna. Tylko że sympatia PiS do Unii może skończyć się szybciej niż wyczerpie się pula unijnych dotacji. I wtedy nie będzie miało znaczenia nawet to, że większość społeczeństwa opowie się za pozostaniem w europejskiej wspólnocie. Pytanie brzmi – jaką drogę wybierze PiS? ■

INNA SZKOŁA JEST MOŻLIWA

O walce przeciwko PiS-owskiej reformie edukacji i nieoczekiwanej metamorfozie z działaczki lokalnej w ogólnopolską z Dorotą Łobodą

rozmawia Katarzyna Wyszomierska



fol. Kinga Michalska

Nie masz czasem de ja vu?

Coś w tym jest. Pierwszy raz byłam na manifestacji jako nastolatka – demonstrowaliśmy przeciw religii w szkołach i wprowadzeniu ustawy antyaborcyjnej. Nie myślałam wówczas, że jako dorosła kobieta wciąż z tego powodu będę wychodzić na ulicę... Jako matka dwóch nastoletnich córek domagam się respektowania praw kobiet. Z podziwem patrzę na Martę Lempart i jestem pewna, że może ona zmobilizować rzesze kobiet, które powiedzą „dość!” i zmieniają naszą rzeczywistość.

Dlaczego właśnie teraz Polki protestują? Dlaczego ty nie tylko uczestniczysz w protestach, ale nawet je organizujesz?

Przez wiele lat w życiu publicznym uczestniczyłam lokalnie, na Żoliborzu. Tu mieszkam, prowadzę żłobek, tu moja córka chodzi do szkoły. Działalam w radach rodziców, współorganizowałam lokalne wydarzenia. Po dojściu PiS-u do władzy narastała we mnie złość, nie godziłam się na rujnowanie Polski i niszczenie demokracji. Razem z tysiącami ludzi demonstrowałam w obronie Trybunału Konstytucyjnego, byłam na niemal wszystkich manifestacjach organizowanych przez KOD.

Aż przyszedł moment, kiedy stałam się organizatorką protestów. Kiedy Anna Zalewska ogłosiła projekt tzw. reformy edukacji, zaangażowałam się w działania ogólnopolskie. Razem z innymi rodzicami byliśmy inicjatorami ruchu społecznego Rodzice Przeciwko Reformie Edukacji, którego stałam się liderką. Nie spodziewałam się, że już wkrótce działalność w obronie edukacji niszczonej przez Annę Zalewską pochłonie większość mojego czasu. Musiałam

szybko nauczyć się, jak wejść na posiedzenia sejmowych komisji, jak zabierać głos w Sejmie i w mediach, jak organizować demonstracje, przekonywać do sprawy i budzić emocje. Nauczyłam się przemawiać do tłumu, współpracować z różnymi podmiotami – od organizacji pozarządowych, związków zawodowych po partię opozycji parlamentarnej i pozaparlamentarnej.

Ale na demonstracjach się nie skończyło...

Zwieńczeniem protestów było zawiązanie komitetu referendalnego, którego byłam wiceprzewodniczącą i który w krótkim czasie zebrał prawie milion podpisów pod wnioskiem o zorganizowanie referendum w sprawie reformy edukacji. Wniosek został ostatecznie odrzucony przez Sejm w pamiętnym lipcu 2017 r., w cieniu walki o niezależne sądownictwo.

Nie poddajesz się?

Moja walka o dobrą edukację nie skończyła się wraz z odrzuceniem wniosku o referendum i wdrożeniem reformy. Wierzę, że gdybyśmy mieli dobrą edukację obywatelską, gdyby nasza szkoła kształciła otwartych na świat, odpowiedzialnych, tolerancyjnych ludzi, którzy umieją dyskutować szanując reguły demokracji, nie musielibyśmy wychodzić ciągle na ulice.

Jakie plany na przyszłość?

Założyłam fundację „Rodzice Mają Głos”, która ma prowadzić działania mające na celu zmianę świadomości społecznej dotyczącej edukacji. Chcę pokazać, że możliwy jest inny system edukacyjny niż funkcjonujący u nas od lat model pruski. Nie zaprzestaję, oczywiście, piętnowania zmian wprowadzonych przez Annę Zalewską – na pewno jeszcze niejedna manifestacja przed nami. Warto jednak wykorzystać czas, który pozostał nam do zmiany władzy (w co głęboko wierzę) na planowanie sensownych zmian w polskiej szkole.

Ponieważ nie chcę liczyć na to, że ktoś załatwi coś za mnie, zdecydowałam się na kandydowanie do Rady Warszawy z list Koalicji Obywatelskiej. Moim celem jest sprawienie, by warszawskie szkoły stały się bardziej przyjazne dzieciom, niwelowanie skutków reformy edukacji i rozwiązanie problemu kumulacji roczników w 2019 roku. ■

Cykl KOBIEТЫ DEMOKRACJI powstał, by pokazać żeńską twarz protestów, które trwają od jesieni 2015 roku. Portal SKWERYWOLNOSCI.EU współpracujący z nami, od początku roku publikuje kolejne artykuły z tego cyklu.

"KOBIEТЫ NA TRAKTORY"

TO NAJPROSTSZA DROGA DO DOBROBYTU

Aktywność zawodowa kobiet to jeden z kluczowych warunków rozwoju naszego kraju. Niestety, w tej chwili jest bardzo niska i nie widać działań, które mogłyby zmienić tę sytuację.

Anna Gnoińska

Po wprowadzeniu programu "Rodzina 500+" oraz obniżeniu wieku emerytalnego z rynku pracy odeszło już, w zależności od źródeł, które podają liczby, od stu do trzystu tysięcy kobiet. Działo się to równolegle do stale malejącej stopy bezrobocia, która waha się między 4 a 5proc.

Ogólnie wskaźnik aktywności zawodowej kobiet w Polsce nie jest zbyt wysoki. Według ostatnich danych GUS, w grupie 24-35 lat wynosi 74 proc., co jest najniższym poziomem odnotowanym od 1999 roku. Nie przekłada się to na dietność, za to przekłada się na poziom życia tych kobiet za kilka lat. A ile traci na tym gospodarka?

Tracone miliardy

W raporcie firmy Deloitte z 2017 r. wyliczono, że gdyby aktywność zawodowa Polek, szczególnie przed 24. i po 50. roku życia wzrosła do poziomu UE (średnio powyżej 80 proc.) polska gospodarka zyskałaby do 2025 roku 180 miliardów złotych. Dlaczego? Dlatego, że osoby w wieku produkcyjnym, które nie pracują, to duży koszt. Po pierwsze, korzystają z różnego rodzaju zasiłków i pomocy, po drugie – nie przykładają się do wzrostu PKB.

Najniższą aktywność zawodową odnotowujemy wśród kobiet z najniższym wykształceniem oraz tych, które mają najwięcej dzieci. Dla obu tych grup ważne jest, aby mieć dostęp do kształcenia, ale także, by móc korzystać z elastycznego czasu pracy bądź pracować zdalnie. W krajach skandynawskich, gdzie poziom aktywności kobiet jest najwyższy w Europie, to właśnie oba te czynniki są wskazywane jako klucz do sukcesu.

Kobieta, która pracuje, jest wartościową matką i żoną. Według danych Eurostatu, co 12. polskie dziecko wychowuje się w rodzinie, gdzie nikt nie pracuje. Czy to nauczy je aktywnie poszukiwać pracy i planować jakąkolwiek przyszłość zawodową? Można w to wątpić. Najlepsze wzorce i etos pracy wynosimy z domu.

Kobiecie kompetencje

W XXI wieku, jeśli chcemy budować nowoczesne państwo i żyć w dobrobycie, aktywność zawodowa kobiet jest zatem kluczowa, gdyż kapitał społeczny, który wprost przekłada się na innowacyjność państwa i jego dobrobyt, budują osoby aktywne zawodowo.

Udział kobiet w rynku pracy jest też kluczowy dla zachowania czy rozwijania różnorodności w zespołach. Różnorodność płci i wieku to różne spojrzenia na problemy zawodowe. Z jednej strony energia, z drugiej doświadczenie, z jednej strony odwaga, z drugiej wielozadaniowość. Nie bez powodu przedsiębiorstwa odpowiedzialne społecznie stawiają na aktywizację kobiet i wyznaczają sobie cele w zakresie różnorodności w gronie kierownictwa i nie tylko. Doskonale wiedzą, że mogą na tym wiele zyskać biznesowo.

Czas na zmianę myślenia

Czego potrzeba, aby kobiety wróciły do pracy? Ze strony państwa z pewnością reformy programu "Rodzina 500+" i jasnego sygnału, że wiek emerytalny nie będzie malał, bo nie ma takiej opcji ekonomicznej. Żadne społeczeństwo, nawet najbogatsze, nie utrzyma 30 proc. nieaktywnych zawodowo i emerytów, których liczba będzie zresztą rosła z roku na rok. Przypomnijmy, że do wieku emerytalnego zbliżają się pokolenia baby boomu z lat 50. XX wieku. Rynek będzie opuszczało ok. 800 tys. osób rocznie.

Ze strony przedsiębiorców konieczne jest zapomnienie, że w latach 90. ubiegłego wieku kobieta 50+ nie wiedziała, do czego służy komputer. W naszych czasach jest w dobrym zdrowiu, może uprawiać jogę, ale na pewno chce jeszcze czuć się potrzebna i ma wiele do zaoferowania pracodawcy, gdyż ma czas, cierpliwość i doświadczenie.

Ze strony rodziny, czas przemyśleć stare wzorce i wygonić kobiety na traktory! Dzieciom wyjście mamy z domu też dobrze zrobi. Szczególnie jedynakom, które często mają trudności z odnalezieniem się w pracy zespołowej.

Najbogatsze kraje Europy to te, w których aktywność zawodowa osób w wieku produkcyjnym sięga 85 proc. (dla obu płci razem). Polsce jeszcze daleko do tego wskaźnika. Mamy wiele do zrobienia, aby w sposób trwały pozostać na ścieżce rozwoju. ■



fot. pixabay.com

CZY PPK URATUJĄ NAS PO BANKRUCTWIE ZUS?

W przyszłości nie będzie emerytur innych niż kapitałowe, bo ZUS-owski mechanizm piramidy finansowej nieuchronnie upadnie. Zaufanie do nich podkopała jednak konfiskata oszczędności z OFE za rządów PO-PSL. Dlatego takie reformy należy tworzyć w sposób przemysłowy.

Jacek Władysław Bartyzel



fot. pixabay.com

Pomysł Pracowniczych Planów Kapitałowych (PPK) nie należy z góry skreślać. Pozytywnie należy ocenić fakt, że proponując to rozwiązanie ustawodawca wraca do idei oszczędzania na własne emerytury – w przeciwieństwie do „solidarnościowego” systemu, w którym nie ma żadnych oszczędności. Projekt jednak jest daleki od optymalnego.

Czym mają być PPK?

Wedle przyjętej ustawy, plany będą wprowadzane stopniowo, najpierw w największych przedsiębiorstwach, w kolejnych la-

tach w mniejszych. Uczestnictwo w PPK ma być dobrowolne dla pracowników, ale obowiązkowe dla pracodawców. Zapisy jednak będą automatyczne, a pracownicy, którzy nie chcą do PPK należeć, muszą złożyć oświadczenie opt-out i ponawiać je co cztery lata. Ci, którzy przystąpią do PPK, będą płacić dodatkowe 2proc. (mogą dobrowolnie zwiększyć wpłatę do 4 proc.) podstawy składek, a kolejne 1,5 proc. (które też może być zwiększone do 4 proc.) płacić będzie ich pracodawca. Państwo (czyli podatnicy) ma dopłacać corocznie 240 zł do kont osób oszczędzających w PPK i dać 250 zł na start.

Umowę z funduszami emerytalnymi zawierać będzie w imieniu pracowników pracodawca. Środki mogą być inwestowane w szeroki wachlarz instrumentów, m.in. obligacje i akcje, również zagraniczne. Opłaty za zarządzanie nie mogą przekroczyć 0,6 proc. aktywów. Ze środków zgromadzonych w funduszach będzie można skorzystać po przekroczeniu 60. roku życia (niezależnie od płci) – 25 proc. możliwej wypłaty jednorazowej, reszta w ratach miesięcznych wypłacanych przez co najmniej 10 lat.

PPK a OFE

Emerytury kapitałowe wprowadzono w Polsce w ramach reformy emerytalnej z 1999 r. poprzez drugi filar (Otwarte Fundusze Emerytalne) i trzeci filar (dodatkowe, dobrowolne ubezpieczenia). O ile trzeci filar nigdy nie stał się zbyt popularny, to spore oszczędności Polacy zgromadzili w OFE, w których oszczędzanie było obowiązkowe dla osób urodzonych w 1969 r. i później, a do funduszy przekazywano znaczącą część składki ZUS. Ta część składki stanowiła kapitał oszczędzającego na jego własną emeryturę. Niestety, za rządów PO-PSL najpierw zmniejszono część składki przekazywanej do OFE, a potem kompletnie rozmontowano drugi filar, przejmując połowę oszczędności i marginalizując tę formę oszczędzania.

Zaletą PPK wydaje się fakt, że explicite w art. 3 ust. 2. zapisano, iż środki w PPK są własnością ubezpieczonych. W wypadku OFE środki te również miały taki charakter implicite. Tak było do momentu, kiedy Trybunał Konstytucyjny wbrew

zarówno logicznym założeniom ustawy, jak i zapisom paru innych aktów prawnych, w tym kodeksu rodzinnego, uznał inaczej, broniąc polityków odpowiedzialnych za „reformę”.

Idea PPK jest formą powrotu do emerytur kapitałowych. Trudno jednak uznać ją za prosty powrót do systemu OFE. PPK są raczej czymś pomiędzy wcześniejszym drugim a trzecim filarem. W przeciwieństwie do OFE, podnoszą obciążenia zarówno dla pracodawcy, jak i pracownika. Nie mamy tu bowiem podziału obowiązkowej składki emerytalnej, a dodatkowe składki płacone przez pracownika i pracodawcę. Mechanizm automatycznego zapisu ma zapewnić jak największą powszechność systemu. Jeśli pracownik z niego nie wystąpi (zachęcony dopłatami od państwa i składką płaconą przez pracodawcę), to kontrybucja ze strony pracodawcy jest już obowiązkowa.

Schyłek ZUS

Obecny system emerytalny, oparty wciąż głównie na ZUS, prędzej czy później zbankrutuje. Wprowadzając PPK ustawodawca przyznaje, że system emerytalny zwany solidarnościowym – czyli taki, w którym składki ZUS mają charakter podatku, a wpłacane tam środki nie są oszczędzane, lecz od razu wydawane na świadczenia dla obecnych emerytów – jest nie do utrzymania. Taki system spełnia wszelkie przesłanki do uznania go za piramidę finansową: wypłaty dla beneficjentów nie są wynikiem zwrotu z inwestycji, a wyłącznie efektem wpłat nowych członków (czyli w tym wypadku kolejnych pokoleń). Piramida finansowa trwa tak długo, jak wpłaty nowych członków zaspokajają wypłaty. Załamanie następuje, gdy nowych wpłacających ubywa, a przybywa pobierających świadczenia. Gdy w piramidzie solidarnościowego systemu emerytalnego uczestniczy – pod przymusem – całe społeczeństwo, czynnikiem wpływającym na zmianę tych proporcji jest demografia. Ludzie żyją coraz dłużej, a więc przez większą część życia pobierają świadczenia. Jednocześnie mają mniej dzieci niż w przeszłości (ten moment prędzej czy później następuje w każdym

społeczeństwie), więc w kolejnych pokoleniach wpłacających jest mniej.

Moment upadku systemu solidarnościowego można jedynie odsunąć w czasie, podwyższając wiek emerytalny aż do momentu, gdy takie emerytury będą dla nielicznych – tymczasem w Polsce zrobiono coś odwrotnego. Gdy system ten powstawał w Niemczech za Bismarcka, był pomyślany właśnie jako coś wyjątkowego – wiek emerytalny (65 lat) był o wiele wyższy niż przeciętna długość życia w 1880 r. (poniżej 50 lat). Gdy mamy odwrotną sytuację (wiek emerytalny w Polsce dziś 60-65 lat, długość życia bliska 80 lat), musimy szukać innych rozwiązań.

Emerytury kapitałowe są konieczne

W tym sensie każda inicjatywa wprowadzająca powszechny system kapitałowy zasługuje na uznanie. Problemem jest jednak nadwątlone zaufanie do wszelkich nadzorowanych przez państwo systemów emerytalnych i uzasadniona obawa, że prędzej czy później państwo znów zechce zabrać oszczędności obywateli.

Może lepiej byłoby, z punktu widzenia wiarygodności, zamiast wprowadzać nowy instrument – stopniowo przy-

wracać system OFE i zwracać na konta środki, które kilka lat temu przejął ZUS (co oczywiście wymaga znaczących cięć wydatków publicznych). Mechanizmy obciążania pracodawców nowymi składkami i nowe dla nich obowiązki także nie wydają się dobrymi rozwiązaniami, gdyż ostatecznie te koszty i tak poniosą pracownicy poprzez niższe płace. Wprawdzie z ustawy wykreślono najbardziej kontrowersyjny zapis o karaniu za zniechęcanie do przystąpienia do PPK, ale mechanizmy finansowe nadal czynią ten wybór nieco złudnym.

Wreszcie – i to chyba najpoważniejszy problem z tymi funduszami: wprowadzając nowe elementy systemu kapitałowego, rządzący powinni jednocześnie dążyć do wygaszania czy marginalizacji systemu solidarnościowego. Tymczasem, z powodów ideologicznych, ich polityka szła w ostatnich latach w dokładnie odwrotnym kierunku. A stawka jest wysoka – jeśli powszechne emerytury kapitałowe nie zostaną wprowadzone w sposób właściwy i nie będą budzić zaufania przyszłych emerytów – dzisiajszym pracownikom na starość przyjdzie żyć z tego, co sami sobie zaoszczędzą poza systemem emerytalnym lub z opieki ze strony rodziny. ■



fot. pixabay.com

ŻARÓWKA A EDUKACJA EKONOMICZNA

Prezydent Andrzej Duda poskarżył się prezydentowi Niemiec na Unię Europejską, że w Polsce nie można kupić żarówek, a jedynie lampy energooszczędne. Świadczy to o braku wiedzy. Ale prezydent nie jest jedynym, któremu tej wiedzy brakuje.

Włodzimierz Witkowski



fot. pixabay.com

Problem nie ogranicza się jedynie do ekonomiki. Zaha-
cza również o ekologię, o problemy wolności jednost-
ki, a przy okazji także o sprawy językowe.

Być może ważniejszym od ekonomiki zagadnieniem jest rela-
cja między wolnością jednostki a dobrem wspólnym. Tę rela-
cję widać najwyraźniej w działalności naszego europarlamen-
tarzysty JKM (inicjały nie oznaczają Jego Królewskiej Mości).
Twierdził on, że obowiązek zapinania pasów bezpieczeństwa
w samochodzie to niepotrzebne ograniczenie wolności oso-
bistej. Prawda, jest to ograniczenie, ale takie, które nie tylko
przynosi korzyści osobiste (przekonałem się o tym na własnej
skórze), lecz wpływa na zmniejszenie kosztów społecznych, ta-
kich jak koszty leczenia czy zasiłki w okresie niezdolności do
pracy. A trudno sobie wyobrazić tworzenie systemu, w którym
zwyczają tychże. kosztów, wynikającą z niezapięcia pasów, ob-
ciążany byłby kierowca lub pasażer samochodu.

W przypadku problemu „żarówka – lampa energooszczędna”
korzyścią społeczną jest oszczędność energii oraz związane z nią
mniejsze zanieczyszczenie środowiska. Warto tu przypomnieć,
że według szacunków w Polsce zanieczyszczenie powietrza po-
woduje przedwczesny zgon ok. 45 tysięcy osób. Chociaż produk-
cja energii nie jest najpoważniejszym źródłem zanieczyszczenia
powietrza, to jednak gra toczy się o niebagatelną stawkę.

A jak to wygląda z punktu widzenia ekonomiki użytkownika?
Podstawowym parametrem każdego źródła światła – lampy
jest jej strumień świetlny (ilość światła wysyłana w jednost-
ce czasu) mierzony w lumenach (lm). Dodatkowymi istotny-

mi parametrami są pobierana moc (w watach - W), trwałość
(w godzinach), a także współczynnik oddawania barw (Ra). Być
może najczęściej stosowanymi w gospodarstwach domowych
lampami są te o strumieniu ok. 800 lm. Taki, w przybliżeniu,
strumień świetlny wytwarzają:

- żarówka o mocy 60 W, trwałości 1000 godz. i cenie
ok. 1,50 zł;
- świetlówka kompaktowa o mocy 11 W, trwałości
8000 godz. i cenie ok. 10 zł;
- lampa LEDowa o mocy 10 W, trwałości 15000 godz.
i cenie ok. 8 zł.

Przyjmując średnią cenę energii elektrycznej (wraz z opłatą
abonamentową) równą 0,40 zł/kWh i średni czas świece-
nia 1500 godz/rok, koszt rocznego użytkowania wyniesie
odpowiednio:

- żarówka - ok. 38 zł;
- świetlówka kompaktowa - ok. 8 zł;
- lampa LEDowa - ok. 7 zł.

Jak zatem widać, koszt oświetlenia mieszkania za pomocą
lamp energooszczędnych jest mniej więcej pięciokrotnie niż-
szy niż za pomocą żarówek. Warto również zauważyć, że lampy
LEDowe mają nad świetlówkami tę przewagę, iż nie wymaga-
ją czasu na rozgrzanie, by osiągnąć pełen strumień świetlny,
a także charakteryzują się lepszym oddawaniem barw. Ponad-
to, ze względu na szybki rozwój technologii LED, ich koszty pro-
dukcji, a w efekcie także cena rynkowa, sukcesywnie spadają.

Z tego krótkiego wyliczenia widać wyraźnie, że chociaż tradycyj-
na żarówka najmniej kosztuje, to jednak wcale nie jest najtańsza.
Warto, aby pan prezydent Duda i wszyscy, którzy mieli co do tego
wątpliwości, pamiętali o tym spoglądając na swoje żyrandole.

Na koniec drobna uwaga językowa. Żarówka bierze swą nazwę
od żarnika, który się w niej żarzy. W innych lampach czegoś ta-
kiego nie ma, więc nazywanie ich żarówkami zawiera w sobie
sprzeczność.

Znajoma lingwistka zwróciła mi jednak uwagę, że takie zjawi-
ska w języku występują – np. nosimy czarną, czerwoną, czy
różową bieliznę! ■



„Naszym celem jest rozwijanie i propagowanie idei wolnościowych i uświadamianie społeczeństwa o roli liberalizmu. To nieprawda, że musimy się pogodzić z niepopularnością idei wolnościowych. Przeciwnie, naszą odpowiedzialnością jest otwarte pokazywanie liberalnej filozofii i ekonomii tak, aby ta zdobywała zrozumienie i popularność. Będziemy otwarci na krytykę, ale gotowi do walki o najważniejsze wartości.”

Misja i cele Klubów Liberalnych

Kluby Liberalne zapraszają do współpracy

Organizujemy w całej Polsce debaty na tematy polityczne, ekonomiczne, filozoficzne i społeczne.

Wszystkie spotkania są otwarte dla publiczności, a każdy uczestnik na każdym spotkaniu ma prawo zabrać głos.

Aktualne informacje o planowanych debatach można znaleźć na naszym profilu na Facebooku. Znajdują się tam także relacje i nagrania ze wszystkich dotychczasowych debat.

Jeśli chcesz dołączyć do nas, zorganizować debatę lub stworzyć Klub Liberalny w swoim mieście, napisz na **kontakt@klubyliberalne.pl**



Jacek Władysław Bartyzel
*Prezes zarządu stowarzyszenia
Kluby Liberalne*

GOSPODAROWANIE ODPADAMI ZNOWU WYMAGA ZMIAN

Góra gnojna za murami miasta to zjawisko, które znamy od średniowiecza. Ale dziś ta „góra” rośnie w niespotykanym wcześniej tempie, zagrażając nam i środowisku. Musimy więc dążyć do spowolnienia jej wzrostu, stosując mądry recykling.

Włodzimierz Witakowski



Santa Eulalia, fot. Włodzimierz Witakowski

Góry gnojne rosły jedynie za murami miast. Na wsi 99,99 proc. odpadków to były odpady biologiczne, wykorzystywane w gospodarstwie – drewno na opał, słoma na strzechy i podściółkę, inne odpady roślinne na kompost, odchody zwierzęce (wraz z podściółką) jako nawóz. Pełen recykling.

W miastach od końca lat 40. ub. wieku jako surowce wtórne skupowano makulaturę i złom, później zaś butelki, które po umyciu były ponownie wykorzystywane. Problem opakowań istniał, ale nie polegał na nadmiarze, lecz braku. Do sklepu klient szedł z własnym opakowa-

niem – bańką na mleko, torbami na inne zakupy, a w razie ich braku otrzymywał towar luzem lub zawinięty w gazetę. Skup butelek (obok braku sznurka do snopowiązałek) był symbolem niewydolności starego systemu.

Nadeszły jednak lepsze czasy. Pojawiły się nowe rodzaje opakowań – torby foliowe, puszki aluminiowe, opakowania warstwowe, styropian i inne tworzywa nie ulegające rozpadowi. Wywożone na wysypiska, spowodowały ich rozrost. Ponadto miasta objęły tereny dawnych wysypisk. W Warszawie to np. Kopiec Powstania Warszawskiego (wysokość 37 m!) czy Górkę Szcześliwicką. Nowe wysypiska mu-

szą być lokalizowane w znacznej odległości od miast, co dodatkowo podnosi koszt wywozu odpadów.

W Polsce w 2017 r. zebrano 11,97 mln ton odpadów komunalnych (312 kg na mieszkańca). Ilość ta stale rośnie. Nie jest możliwe ciągłe ich składowanie na wysypiskach. Konieczne jest ich powtórne wykorzystanie albo w formie ponownego przetworzenia (papier, metale, niektóre tworzywa, odpady biologiczne), albo w formie składnika materiałów kompozytowych. Dlatego niezbędna jest segregacja odpadów już w miejscu ich powstania.

Miasta „od zawsze” traktowały utrzymanie czystości jako swój obowiązek, który później objął także na gminy wiejskie. Wynika on z uchwalonej w 1996 r. Ustawy o utrzymaniu czystości i porządku w gminach. Stanowi ona, że utrzymanie czystości i porządku należy do zadań własnych gminy, która ma także tworzyć warunki do selektywnej zbiórki, segregacji i składowania odpadów przydatnych do wykorzystania. Pierwotnie były to jednak tylko zalecenia ogólne. Dopiero zmiany tej ustawy uchwalone w lipcu 2011 r. sprecyzowały te obowiązki, mówiąc m.in., że gminy:

- obejmują wszystkich właścicieli nieruchomości na ich terenie systemem gospodarowania odpadami komunalnymi;
- ustanawiają selektywne zbieranie odpadów komunalnych obejmujące co najmniej następujące frakcje odpadów: papieru, metalu, tworzywa sztuczne,

szkła i opakowań wielomateriałowych oraz odpadów komunalnych ulegających biodegradacji,

- tworzą punkty selektywnego zbierania odpadów komunalnych, w tym zużytego sprzętu elektrycznego i elektronicznego pochodzącego z gospodarstw domowych;

- zapewniają osiągnięcie odpowiednich poziomów recyklingu.

Skoro zgodnie z ustawą utrzymanie czystości i porządku należy do zadań własnych gmin, to są one zobowiązane do zorganizowania odbierania odpadów komunalnych od właścicieli nieruchomości, zaś ci ostatni wnoszą na rzecz gminy opłatę za gospodarowanie odpadami komunalnymi. Wpływy z tego tytułu służą pokryciu kosztów:

- odbierania, transportu, zbierania, odzysku i unieszkodliwiania odpadów komunalnych;

- tworzenia i utrzymania punktów selektywnego zbierania odpadów komunalnych;

- obsługi administracyjnej tego systemu.

Przepisy ustawy miały na celu taką modyfikację starego systemu zbierania odpadów w taki sposób, by usunąć jego wady, jak:

- wyrzucanie śmieci w lasach, na poboczach dróg, czy podrzucanie śmieci na cudzy teren;

- praktyczny brak selektywnego zbierania odpadów.

Wcześniejszy system opierał się na zawieranych przez właścicieli nieruchomości umowach z przedsiębiorstwami wywozzącymi odpady komunalne.

Istniała także zbiórka odpadów segregowanych, a w szczególności:

- złomu (składnice);

- makulatury, tworzyw sztucznych i szkła (pojemniki uliczne, punkty skupu makulatury);

- zużytych baterii (niektóre sklepy);

- przeterminowanych leków (apteki);

- elektrośmieci – zużytych urządzeń AGD i RTV itp. (punkty zbiórki);

- odpadów wielkogabarytowych (odbierane w ramach ogólnych umów).

Wprowadzając ten system w Warszawie władze miasta (wbrew przepisom ustawy) połączyły w jedną frakcję makulaturę, tworzywa sztuczne, metale i inne odpady suche, choć makulatura zbierana była odrębnie od dziesięcioleci. Ponowne wyodrębnienie makulatury ma nastąpić od stycznia 2019 r.

Po modyfikacji system segregowania odpadów przewidywać będzie następujące frakcje:

- makulatura;
- tworzywa sztuczne (i inne odpady suche);
- szkło;
- odpady biologiczne;
- odpady pozostałe;
- odpady wielkogabarytowe.

Warto jednak pamiętać, że powinny być (niekiedy już są) wyodrębnione inne jeszcze frakcje (*w nawiasie – postulowane rozwiązanie*):

- elektrośmieci (*pojemnik w każdej dzielnicy i w dużych sklepach AGD*);

- baterie – obecnie pojemniki w niektórych sklepach (*także w sklepach ze sprzętem RTV i AGD, elektrotechnicznych i wielkopowierzchniowych*);

- metale (*pojemniki przy sklepach wielkopowierzchniowych*);

- lampy – obecnie pojemniki w niektórych sklepach (*pojemniki także przy sklepach wielkopowierzchniowych*);

- przeterminowane leki – w aptekach;

- drobne ilości odpadów budowlanych (*pojemniki przy marketach budowlanych, a także w dzielnicach, w których takich marketów nie ma; większe ilości, niż do-*

tychczas, wywożone indywidualnie);

- odpady chemiczne (farby, odczynniki) (*pojemniki w każdej dzielnicy*);

- odpady zielone (*pojemniki podstawiane na zlecenie, przy zabudowie jednorodzinnej – latem i jesienią ustawione na stałe*);

- komunalne odpady specjalne (opony, akumulatory itp.) (*zbierane przez sprzedawców i przez warsztaty świadczące usługi*);

- złomowane pojazdy (nie są odpadami komunalnymi) – obecny system zdaje egzamin;

Władze Warszawy (a być może także innych miast i gmin) wprowadzając w 2013 r. nowy system segregacji i zbierania odpadów popełniły sporo błędów. Poza połączeniem makulatury z innymi odpadami były to np. oparcie się na deklaracjach mieszkańców co do liczby osób zamieszkujących na terenie gminy, co w Warszawie zmniejszyło liczbę osób płacących o ok. 300 tys. i oczywiście radykalnie obniżyło wpływy. Opłaty w domach jednorodzinnych obliczono na podstawie deklaracji właściciela na temat wielkości i częstotliwości opróżniania pojemników, co skłania do nielegalnego pozbywania się części odpadów (ilość śmieci w lasach zmalała tylko nieznacznie). Wprowadzono również zasadę „odrębne pojemniki dla każdej nieruchomości”, która w rejonach o zwartej zabudowie powoduje ustawianie zbyt dużej liczby pojemników. Konieczne jest usunięcie tych błędów. ■



Saragossa, fot. Włodzimierz Witkowski

ŚREDNIOWIECZE NIE TAKIE ZNOWU ŚREDNIOWIECZNE

Określenie „średniowieczny” jest dziś synonimem zacofania i ciemnoty. A epoka trwała 1000 lat i zawdzięczamy jej samorząd miejski, cechy rzemieślnicze czy uniwersytecką niezależność i autonomię nauki, uważane za zdobycze demokracji i nowoczesności.

Agnieszka Wyczółkowska



fot. pixabay.com

Nie wszyscy chcemy czy potrafimy pamiętać o tym, że to, co dziś uważamy za symbol nowoczesności i demokracji, np. samorząd terytorialny czy rzemieślniczy, niezależne od władzy placówki naukowe – uniwersytety ma swój początek w Średniowieczu. Z jednej strony zachwycamy się pięknymi budowlami gotyckimi lub romańskimi a z drugiej okres, w którym powstały, uważamy za czas ciemnoty, stagnacji i zacofania. Wydaje się jednak, że jest to ocena zbyt powierzchowna i niesprawiedliwa.

Wiek Średniowieczny to trwający ponad 1000 lat okres w dziejach świata, czas, w którym zachodziły wielkie i ważne zmiany ekonomiczne i społeczne, rodziły się państwa,

rozвивała literatura, filozofia i nauka. Za jego początek przyjmuje się rok 476, detronizację cesarza Romulusa Augustulusa i upadek Cesarstwa Zachodniorzymskiego, koniec to rok 1492, czyli zajęcie Konstantynopola przez Turków i upadek Cesarstwa Wschodniorzymskiego. Jest jednak grupa historyków mediewistów, należy do niej np. Jacques Le Goff, którzy uważają, że epoka ta trwała do końca XVIII wieku, do rewolucji przemysłowej i wybuchu Wielkiej Rewolucji Francuskiej, czyli do końca wieku Oświecenia.

Czas kładzenia fundamentów

Cesarstwo Rzymskie obejmowało południową część naszego kontynentu. Państwa powstałe w wyniku jego upadku

łączyły więzy gospodarczo - kulturowe. Z czasem wyłoniły się i zdobyły ważną pozycję polityczną i gospodarczą państwa północne, czyli Niemcy i Skandynawia, zachodnie, czyli Bretania, Anglia i Irlandia, a na wschodzie Węgry i państwa Europy środkowej. Wszystkie one weszły do wspólnej przestrzeni opartej na prawie rzymskim, filozofii greckiej i religii judeo-chrześcijańskiej, tworząc zręby przyszłej Europy. Za jej początek uznaje się moment koronacji Karola Wielkiego na cesarza, czyli 25 grudnia 800 roku.

Okres XI-XIII wieku to czas, w którym rozwijały się miasta. Przyjmowały one (np. Kraków, Bruksela czy Poznań) znany do dziś kształt, czyli miasto i przedmieścia. Ich mieszkańcy bogacili się bądź na rze-

miośle, np. produkcji tkanin czy narzędzi, bądź na handlu. Zdobywali przywileje wytwarzania lub handlu bez płacenia czynszu.

Zwiększanie powierzchni ziemi uprawnej i rozwój rolnictwa sprzyjało wymianie towarowej i pieniężnej, w tym wymianie pieniądza, które to operacje były wykonywane na ławach lub kontuarach, z francuskiego „banque” i włoskiego „banco”. Z czasem powstawały budynki, gdzie dokonywano transakcji, czyli banki. Miejscem wymiany towarów były targi i jarmarki. Poszukiwanie przez kupców i mistrzów rzemiosła nowych rynków zbytu, wędrowni czeladników poszukujących doświadczenia w swym rzemiośle przygotowały grunt pod Wielkie Odkrycia Geograficzne.

Narodziny samorządów

Powstawały gminy miejskie, na czele których stali wójtowie przewodniczący ławie miejskiej. Jej członkowie, ławnicy, byli wybierani spośród najbogatszych mieszczan. W miastach na czele Rady Miejskiej wybieranej spośród najbogatszych mieszkańców stał burmistrz. Rada prowadziła politykę miejską, sprawowała sądy, reagowała w sytuacjach nadzwyczajnych. Wybierając dziś członków rad w miastach, wójtów czy burmistrzów pamiętajmy o średniowiecznej genezie tej formy rządów miejskich.

Rzemieślnicy byli zrzeszeni w cechach, a kupcy w gildiach stojących na straży interesów (np. liczby warsztatów w mieście) oraz praw swoich członków. Cechy i gildie organizowały wzajemną pomoc, życie religijne czy towarzyskie swoich członków, a w czasie wojny były zobowiązane do obrony miasta. Przynależność do cechu była obowiązkowa.

Podwaliny instytucji naukowych

Uniwersytet to jeden z największych wytworów średniowiecznej cywilizacji europejskiej, nie mający wzorców w starożytności, zorganizowany na wzór cechu związek ludzi nauki, wykładowców i studentów (Universitas doctorum et scholarum). Stał się wspólnotą ludzi skupionych

wokół poszukiwania wiedzy i prawdy, odporną na ingerencję polityczną i religijną, mimo że średniowieczne uniwersytety były zakładane na podstawie przywilejów papieskich. Wstępując na uniwersytet student poznawał siedem sztuk wyzwolonych, czyli gramatykę, retorykę i dialektykę (trivium) oraz arytmetykę, geometrię, muzykę i astronomię (quadrivium). Po ich opanowaniu mógł wybrać najwyższą z nauk, czyli studiowanie Boga i jego dzieł, teologię (np. w Paryżu), prawo cywilne lub kanoniczne (Bolonja i Padwa) lub medycynę (Montpellier).

Przy kościołach parafialnych i katedrach powstawały szkoły elementarne, w których chłopcy chcący wstąpić do stanu kapłańskiego uczyli się czytać i pisać po łacinie. W szkołach prywatnych dzieci bogatych mieszczan, kupców czy mistrzów rzemiosła uczyły się rachunków, redagowania listów, a nauka prowadzona była w językach narodowych. Pojawiły się też pierwsze, nieliczne szkoły dla dziewcząt. Są to zaczątki tego, co dziś nazywamy edukacją podstawową i średnią.

Językiem obecnym wszędzie – w literaturze, religii i polityce – była łacina, ale od XIII wieku języki narodowe zaczęły odgrywać coraz większą rolę. Na ziemiach polskich nakazywano odmawianie po polsku modlitw Ojcze nasz i Credo. W kronikach zapisano pierwsze zdania po polsku, np. „Daj ja pobruszę a ty pocziwaj”. Rozwijały

się piśmiennictwo a, początkowo rękopiśmienne księgi przyjęły znaną nam dziś postać.

Wartości ciągle aktualne

Liczne klęski głodu i epidemie doprowadziły do rozwoju dobroczynności, która wynikała z chrześcijańskiej wartości, jaką jest miłość bliźniego a zasada „Głodnych nakarmić” stała się jednym z siedmiu uczynków miłosierdzia wobec ciała. Powstawały pierwsze szpitale, np. istniejący do dziś Hotel de Dieu w Paryżu.

Średniowiecze fascynowało ludzi późniejszych epok. Stało się inspiracją dla twórców czasu romantyzmu. I dziś niektórzy z nas sięgają po utwory czy filmy opowiadające historie Robin Hooda czy króla Artura i jego towarzyszy, np. Parsifala, Ivenhoe czy sir Lancelota z Jeziora. Okrągły stół, przy którym zasiadali rycerze, stał się synonimem równości i rzeczowej dyskusji.

Dzisiejszy świat być może jest bardziej nowoczesny, posługujemy się nowymi technologiami, których kilkadziesiąt lat temu nie było. Nie powinniśmy czynić tamtym czasom zarzutu zacofania i ciemnoty, ponieważ nie można porównywać stanu wiedzy i mentalności tych dwóch epok. Średniowiecze przygotowało grunt pod epokę nowożytną, bez tamtych ludzi nie byłoby nas. ■



fot. pixabay.com

CIĄGLE BOIMY SIĘ „INNOŚCI”

Czy można poznać, zrozumieć i zaakceptować drugiego człowieka bez względu na to, jak bardzo różni się od nas? Czy różnice między ludźmi, czasami bardzo głębokie, muszą być barierą współżycia, którego podłożem jest wzajemna akceptacja?

Agnieszka Gołas



fot. pixabay.com

Wiadomo powszechnie, że akceptuje się i wspiera chorych na serce lub nowotwór, ale chora głowa budzi niepokój i niechęć. Stąd stygmatyzacja i ostracyzm w najbliższym otoczeniu: w rodzinie, wśród znajomych, w pracy. Obcowanie z takimi chorymi zaburza spokój i dobre samopoczucie otoczenia, choć przecież, jak każda inna choroba, również choroba psychiczna lub załamanie nerwowe mogą dotknąć każdego.

Czemu więc inne, dziwaczne zachowanie ludzi tak nas krępuje, że mamy

ochotę się wycofać? W ludziach uważanych za zaburzonych psychicznie wykluczenie i stygmatyzacja wywołują ból, złość i smutek. Wtedy albo za wszelką cenę walczą o przynależność do grupy, albo skazują się na izolację i godzą na samotność.

Wstydliva choroba

W Polsce wciąż jeszcze pokutuje pogląd, że wizyta u psychiatry czy nawet psychologa jest powodem do wstydu. Nikt nie ma oporów przed wizytą u kardiologa, ale mózg to organ decydujący o tym, kim

jesteś w oczach innych i kim się czujesz, więc jeśli pojawiają się symptomy, że coś z nim nie tak, oznacza to cios w samo sedno naszej istoty bycia: sygnał świadczący o naszej nieudolności, słabości, braku kontroli nad sobą i odstawianiu od „zdrowej” reszty. Niepokój, depresja, napady paniki lub złości szybciej wykluczają nas z życia społecznego niż chore serce czy złamana noga.

Powszechna jest również niechęć do sięgnięcia w głąb siebie, autoanalizy, przyznania się przed sobą do słabości, nie mówiąc już o rozmowie o tym z osobą

nieznajomą. Boimy się przyznać, że coś z nami nie tak, wolimy o tym nie myśleć, problemy oddalamy, zagłuszając je różnymi zajęciami i tematami zastępczymi.

Warto jednak zdać sobie sprawę, że żyjemy w XXI wieku, w natłoku zdarzeń i informacji, w ciągłym napięciu i dążeniu, by dopasować się do szerzonych przez media społecznych oczekiwań i sztucznie zawyżonych standardów. Żeby pasować i nadążyć, napinamy się do granic naszych możliwości. I czasami nie wytrzymujemy. Wówczas, tak jak ci „inni”, również my sami, dotychczas „normalni”, zaczynamy potrzebować wsparcia, pomocy, zrozumienia i leczenia, a przede wszystkim odkrycia, że jesteśmy całością i pod zewnętrzną warstwą pozorów naszej „choroby”, kryją się ogromne pokłady ludzkiego bogactwa, wrażliwości, zdolności i możliwości.

Kto wyznacza normę?

„Technologia pochłania coraz więcej czasu i wypiera bezpośrednie kontakty z ludźmi. Boję się, że zabiera nam zdolność do empatii”, mówi australijski psycholog zajmujący się Zespołem Aspergera (ZA). „Zwykle osoba z ZA jest po prostu ekscentryczna – przerysowując, zachowuje się jak brytyjski arystokrata. Wszystko zależy od tego, gdzie wyznaczmy linię podziału między tym, co typowe, a tym, co inne. A że wielu ludzi ma wąską definicję ‘normalności’, nierozwiązanym problemem jest nietolerancja odmienności. Choć od stuleci wiadomo, że to społeczeństwa oparte na różnorodności rozkwitają.”

Wielu badaczy dostrzega wyraźne związki między wyjątkowym talentem a chorobą psychiczną i twierdzi, że często bez skłonności choćby do chwiejności emocjonalnej, izolacji, zachowań schizotypowych, czy poważnych zaburzeń psychicznych wielu uczonym, artystom, pisarzom, czy politykom nie udało się dokonać czynów, wynalazków i stworzyć dzieł, które zmieniły bieg historii, oblicze nauki oraz sztuki światowej. Mówią, że Albert Einstein zbierał z ulicy niedopałki papierosów, wydłubywał z nich tytoń i upychał do swojej słynnej fajki. Niektórzy wierzą,

że mógł mieć ADHD, a także zaburzenia obsesyjno-kompulsywne.

Geniusz i choroba?

Winston Churchill przez całe życie, mimo wybitnych osiągnięć politycznych, miewał częste okresy depresji, czuł się niedowartościowany, odczuwał pustkę i bezcelowość życia. Jego współpracownicy opowiadali także o trwających wiele godzin wyczerpujących przemówieniach premiera, o 20-godzinnych dniach pracy, jego wojowniczości, szastaniu pieniędzmi, które to wydatki później musiał odzyskiwać pisząc. Mimo już i tak intensywnego życia, zdołał napisać 47 książek w 72 tomach, a jego prywatne zapiski ważyą podobno 15 ton. Poza tym wszystkim malował i murował, co traktował jako autoterapię. Od młodości, kiedy zwykle ujawnia się choroba afektywna dwubiegunowa (CHAD), wierzył w misję, którą ma wypełnić, a opinie innych traktował z pogardą.

Na lęki agorafobiczne cierpieli Bolesław Prus i Julian Tuwim. Jednak stany lękowe nie przeszkodziły im w twórczości literackiej, a wyjątkowe poczucie humoru Tuwima (miał również depresję!) sprawiło, że jak nikt inny, potrafił on tak opisać typową damsko-męską „Kolej rzeczy: 1. sentyment, 2. temperament, 3. moment, 4. lament, 5. aliment.” Nazwiska osób powszechnie znanych, które cierpiały na zaburzenia psychiczne można by mnożyć: Edvard Munch, Vincent van Gogh, John Forbes Nash, Herman Hesse, Marilyn Monroe...

Niby normalni, ale dziwni

Każdy z nas styka się na co dzień z „innością innych”: dziwimy się im, nie rozumiemy, krytykujemy i odsuwamy się od nich, ale czasami ich podziwiamy. Są wśród nas osoby mające w sobie determinację do ciągłego przekraczania własnych ograniczeń, potrzebujące ogromnej ilości adrenaliny, żeby żyć i wszystko jest temu celowi podporządkowane. Osoby z ADHD bardzo często uprawiają sporty ekstremalne, by w ten sposób dać upust nagromadzonej w ciele energii, a także... odpocząć.

Wiele jest wśród nas osób reagujących inaczej niż zareagowalibyśmy my sami. Zupełnie „normalna” koleżanka wysiadła kiedyś z samochodu tylko po to, żeby zlać po gębie kierowcę, który wcisnął się do kolejki aut czekających na wjazd do tunelu.

Czy człowiek, który aby móc spokojnie porozmawiać przy kawianym stoliku, najpierw musi wszystko wokół siebie porządnie poukładać, cierpi na nerwicę natręctw, czy może mieści się to jeszcze w granicach „normy”? Wyjmuje z kieszeni dwie komórki, papierosy, zapalniczkę, kładzie jedno obok drugiego, serwetkę i talerzyk odsuwa na lewą stronę, sztucze na prawą i dopiero wtedy czuje się na tyle spokojny i skupiony, by rozpocząć rozmowę. Co chwilę jednak sprawdza, czy wszystkie przedmioty leżą tak, jak sobie tego życzy.

Są ludzie sprawiający wrażenie nieustannie szczęśliwych: wszystko jest dla nich powalająco fantastyczne i uśmiechają się nawet przez sen. Bądź szczęśliwy, życie jest wspaniałe! Inni się bez końca skarżą i pomstują: na niesprawiedliwość losu, na polityków, na służbę zdrowia. Jedni reagują szybko i impulsywnie, inni wolno albo wcale. Jedni się z powodu swojej „inności” leczą, bo im doskwiera, ale wielu to wcale nie przeszkadza. „Inność” nas otacza. ■



fot. pixabay.com

AJURWEDA – SPOSÓB NA ZDROWIE

Wszyscy chcemy być zdrowi i wyglądać młodo. Zdrowa żywność, aktywność fizyczna, ćwiczenia jogi stały się częścią naszego życia. O tym, jak mądrze dbać o ciało, opowiadają znani eksperci, profesorowie tradycyjnej indyjskiej medycyny ajurwedyjskiej – Pratibha Mamgain i Ravindra Kumar Mamgain z Himalayan Institute Hospital Trust.

rozmawia Andrzej Wierzbza



Ravindra Kumar Mamgain i Pratibha Mamgain, fot. Andrzej Wierzbza

Jaka jest historia medycyny ajurwedyjskiej?

Pratibha Mamgain: Według naszych wierzeń, ajurweda została sprowadzona na ziemię przez boga medycyny Dhanwantari. Wiedza ta została spisana w starożytnych księgach, a niezależnie od tego była przekazywana lokalnie z pokolenia na pokolenie. Jedną ze starożytnych ksiąg obejmowała też dokładny opis zabiegów chirurgicznych. Ludzie biedni byli leczeni za pomocą ziół, ćwiczeń fizycznych i głodówki. Bogacze mogli sobie pozwolić na zabiegi chirurgiczne i na bardzo drogą terapię oczyszczającą – Panchakarma. Studia medycyny ajurwedyjskiej trwają w Indiach pięć i pół roku, a dalsza specjalizacja kolejne trzy lata. W Indiach

obchodzone jest święto boga medycyny Dhanwantari Trayodaśi.

W czasach, kiedy powstawała ajurweda, nie było laboratoriów diagnostycznych, mikroskopów elektronowych i aparatów rentgena. Jak była i jest stawiana diagnoza?

Ravindra Kumar Mamgain: Lekarz w ajurwedzie poświęca dużo czasu pacjentowi, aby poznać jego chorobę. Pierwszym krokiem jest zbadanie pulsu pacjenta. Jest to robione inaczej niż w medycynie zachodniej. Lekarz kładzie w odpowiednim miejscu na przegubie dłoni trzy palce i w ten sposób odczytuje dużo więcej informacji o stanie zdrowia pacjenta. Do diagnozy są także używane

mocz i kał. Kolor, konsystencja, przebarwienia dostarczają informacji o chorobie. Kolejnym elementem diagnozy jest stan języka. Niewłaściwy kolor może oznaczać problemy z trawieniem.

Podczas wizyty lekarz ogląda też oczy, ocenia sposób mówienia, ogólny wygląd i sposób poruszania się pacjenta. Dotykając bolących lub źle wyglądających miejsc może ocenić, co stanowi przyczynę choroby. Niezależnie od tego wszystkiego lekarz prowadzi bardzo osobisty wywiad z pacjentem, próbując dociec, czy jakieś przeżycia nie doprowadziły do osłabienia organizmu i choroby. Obecnie wyniki badań laboratoryjnych są w ajurwedzie równoprawną metodą diagnostyczną.



Ravindra Kumar Mamgain, fot. Andrzej Wierzb

I co się dzieje, kiedy pacjenta boli na przykład lewe ucho? Czy dostaje wtedy tabletkę przeznaczoną do leczenia lewego ucha?

PM: Ajurweda nie traktuje ciała jako połączonych ze sobą fizycznych elementów, ale traktuje organizm jako całość. Wiele setek lat pozwoliło zrozumieć, jak poszczególne narządy wpływają na siebie i co tak naprawdę stanowi o przyczynie choroby. Ten narząd i jego okolice trzeba wyleczyć. Niestety, nie w każdym przypadku jest to tak proste. Choroba może być spowodowana groźnymi bakteriami, ale także warunkami środowiskowymi czy niewłaściwym trybem życia. W tym przypadku samo podawanie tabletek czy ziół na nic się nie zda. W takiej sytuacji doradzamy zmianę trybu życia, diety, pozbycie się szkodliwych przedmiotów z otoczenia.

Czy joga jest częścią ajurwedę?

PM: Ajurweda bardziej dotyczy części fizycznej organizmu. Joga dotyczy bardziej części duchowej i energetycznej. Dla zdrowia potrzebne są sprawnie działające organy, ale też dobra energia. Z tego powodu naszym pacjentom zalecamy jogę jako dobry sposób na podniesienie energii.

Jakich terapii mogą się spodziewać pacjenci?

RKM: Kuracja ma na celu wyleczenie pacjenta i dlatego stara się usunąć przyczynę choroby. Pierwszym jej etapem jest oczyszczenie organizmu z toksyn. Jest to tym ważniejsze, że w obecnych czasach

ludzie spożywają jedzenie pełne chemikaliów, wdychają w dużych miastach smog i piją napoje gazowane z substancjami konserwującymi.

Powszechnie używaną metodą pozbycia się toksyn z ciała jest masaż połączony z sauną. Masaż pomaga organizmowi w uwolnieniu niepotrzebnych toksyn, a wysoka temperatura wzmacnia wydalanie toksyn z potem. Inną metodą to czyszczenie nosa i zatok solą fizjologiczną. Jako kontynuację zabiegu stosuje się podanie do nosa kilku kropli mieszanki ziołowej, której bazowym składnikiem jest olej sezamowy. Przewód pokarmowy jest czyszczony poprzez wymioty, zioła przeczyszczające i lewatywę opartą o oleje i zioła. W pewnych przypadkach stosuje się także upuszczanie krwi. W samym procesie leczenia wykorzystujemy świeże zioła, warzywa i owoce rosnące w Indiach. W ajurwedzie wykorzystuje się ponad 1300 różnych roślin. Z liści, łodyg, owoców i korzeni tworzone są napary, maści, krople czy całe posiłki. Pacjenci spędzają czas na odpowiednich dla siebie ćwiczeniach fizycznych. Niektórzy mają zalecone przebywanie na słońcu. Podczas terapii jedzenie dla pacjentów przygotowywane jest z organicznych warzyw, a jedzenie szkodliwych przemysłowych produktów spożywczych i picie słodzonych napojów oraz alkoholu jest bezwzględnie zabronione.

Jakie zabiegi proponuje ajurweda dla urody?

PM: Początkowo wykonywany jest masaż twarzy olejem zawierającym między innymi olejek sandałowca, wywar z kory



Pratibha Mamgain, fot. Andrzej Wierzb

sandałowca, kurkumę, aloes, jaśmin. Następnie na twarz nakładana jest pasta zawierająca wodę różaną i drzewo sandałowe. Po pewnym czasie pasta jest zmywana. Niezależnie od skóry podawane są lecznicze zioła, które oczyszczają krew, czyniąc skórę łagodniejszą. Gdy do naszego ośrodka przyjeżdżają ludzie z wypadającymi włosami lub problemami ze skórą głowy, masaż jest robiony olejem zawierającym zioło na wzrost włosów eclipta alba. Do mycia włosów stosowany jest specjalny szampon z orzechów rosnącego w pobliskich górach drzewa mydlanego. Szampon jest wyjątkowo łagodny i sprzyja regeneracji włosów. Zamiast płynu do kąpieli proponujemy pastę zawierającą zmieloną ciecierzycę, kurkumę oraz, w zależności od rodzaju skóry, olej z musztardowca, oliwę z oliwek lub olej kokosowy.

Do ośrodka HIHT przy lotnisku Dehradun przyjeżdżają ludzie prawie z całego świata: z Japonii, Ameryki, Europy. Jakie choroby cywilizacyjne można wyleczyć stosując medycynę ajurwedyjską?

PM: W naszym ośrodku prowadzone są zabiegi Panchakarma. Pacjenci po leczeniu raka przyjeżdżają do nas na rekonwalescencję, aby zmniejszyć prawdopodobieństwo nawrotu choroby. Osoby z bólami głowy, artretyzmem, otyłością i innymi chorobami cywilizacyjnymi trafiają do naszego ośrodka na Panchakarmę i po dalsze wskazówki. Chcą zmienić tryb życia tak, aby w zdrowiu cieszyć się życiem. Naszą misję jest sprawić, aby mogli zdrowo żyć i być szczęśliwymi.

Dziękuję za rozmowę. ■



The Ayurvedic Centre, fot. Andrzej Wierzb

CYPR, DOM PODZIELONY MUREM



Akwedukt Kamares w Larnace, fot. Ewa Krawczyk-Dębiec

Wsluchając się w Cypr, zapominamy o wakacyjnej wyspie pełnej słońca, kotów, uroczych plaż i Afrodyty wyłaniającej się z morskiej piany. Wyspa pokazuje nam swoje tajemnice, także te bolesne.

Ewa Krawczyk-Dębiec

Lipiec, wymarzony urlop w Larnace. Mieszkając przy Promenadzie Finikoudes, z balkonu słyszymy szum Morza Śródziemnego. Jest upał, ale i niespokojny wiatr porywający plażowe parasolki.

Larnaka, Cypr Południowy

W sercu Larnaki oglądamy Cerkiew św. Łazarza z grobem Łazarza – tym ostatnim. Gdy Jezus w Betanii wskrzesił Łazarza, przybył on na Cypr i spędził tu resztę życia. Biblijna opowieść przypomniła nam byłego postać PO Johna

Godsona. W 2013 r. stwierdził, że wierzy w takie rzeczy i na Twitterze zawiesił link do nagrania, na którym martwy po wypadku samochodowym człowiek ożył w kostnicy na skutek modlitwy. Dostał odpowiedź: „Jestem lekarzem, pracowałem kilka lat w pogotowiu, karetce S – też widziałem wskrzeszenia po wypadkach. Do niektórych z nich przyłożyłem rękę.”

Zwiedzając miasto trafiliśmy nad Słone Jezioro i do Akweduktu Kamares. Zimą jezioro napełnia się wodą i przyjmuje flamingi. W lipcowym słońcu zobaczyliśmy tylko połać soli, po której hulał wiatr.

Podobno kiedyś pewna mieszkanka nie ugościła Łazarza, a ten przeklął jej winnicę i zamienił w słone jezioro. Podobnie suchy zastaliśmy akwedukt przy drodze do Limassol. Majestatyczna budowla z 1745 r. powstała dzięki tureckiemu gubernatorowi i aż do 1930 r. służyła do sprowadzania wody z pobliskiej rzeki. Po godzinnym spacerze w lejącym się żarze cień akweduktu był zbawienny.

Cypr to kraj kotów – podobno przypląsnęły tutaj w IV w. statkiem dzięki św. Helenie. Rozprawiły się z jadowitymi węzami, które rozmnożyły się w wyniku trwającej



Cerkiew św. Łazarza w Larnace, fot. Ewa Krawczyk-Dębiec

trzydzieści sześć lat suszy. Potomek walecznego kota przywitał nas na terenie katolickiego kościoła i oprowadził wokół budowli. Na tablicy ogłoszeń była informacja o mszach odprawianych w języku polskim. Polonia na Cyprze istnieje dzięki Polkom przybyłym na wyspę w latach 60. ubiegłego wieku wraz z cypryjskimi małżonkami studiującymi u nas.

Nikozja, Cypr Północny

Historia wyspy to też dzieje nienawiści, której znakiem jest Zielona Linia. W grudniu 1963 r., po kolejnych zamieszkach wynikających z konfliktów narodowościowych, pewien oficer ONZ zielonym kolorem narysował na mapie

Nikozji linię. Oddzielił tak dzielnice tureckich Cypryjczyków od dzielnic Cypryjczyków greckich. Ta sama linia podzieliła też wyspę.

15 sierpnia 1974 r. oddział EOKA-B, złożony z cypryjskich Greków marzących o zjednoczeniu z Grecją, wymordował w osadzie Tochnia większość Turków zdolnych do noszenia broni. Stało się to pretekstem do inwazji Turcji na Cypr, a Zielona Linia, mająca pogodzić chrześcijan i muzułmanów, stała się wielką bliźną dzielącą kraj.

Wczesnym wakacyjnym porankiem przekroczyliśmy granicę w stolicy, udając się do strefy tureckiej. W Nikozji Północnej nadal widać ślady walk, a uliczki kończą się murem najeżonym kolcami, od którego parę metrów dalej jest tętniący życiem bazar. Przepiękne dawniej domy, opuszczone w pośpiechu przez cypryjskich Greków, niszczej. W niektórych, stojących przy strefie buforowej, Turcy prowadzą małe zakłady. Gdy opuszcza się przygraniczną strefę, wchodzi się w zaniedbane i wyludnione uliczki. Osamotniony turysta śledzony jest wścibskimi oczyma ukrywającymi się w zniszczonych domach, czując się jak intruz.

Nikt nie ma tu potrzeby dbać o greckie zabytki i kościoły. Niektóre są wykorzystywane na bieżące potrzeby mieszkań-



Mur dzielący Nikozję, fot. Ewa Krawczyk-Dębiec

ców, jak choćby katedra św. Katarzyny. Gdy przechodziliśmy obok niej i chcieliśmy zajrzeć do środka, natknęliśmy się na muzułmańskie mamy, które przyprowadziły swoje dzieci na lekcje.

Wracając do Nikozji Południowej poczuliśmy ulgę. Na środku przejścia granicznego leżała kocia mama z maluchami, a pierwszy napis widoczny po przekroczeniu granicy to ułożone z mozaiki słowo "Peace". Będąc już w Larnace poszliśmy do Skali – starej dzielnicy tureckiej. Po wizycie w Nikozji inaczej spojrzeliśmy na stojące tam budynki. Zamiast ciekawostek turystycznych patrzyliśmy na pozostałości tureckich domów, opuszczonych w pośpiechu w 1974 r. ■



Nikozja Północna, Cypr, fot. Ewa Krawczyk-Dębiec



Strefa przygraniczna, Nikozja Północna, fot. Ewa Krawczyk-Dębiec

ZAPOMNIANY KOMPOZYTOR NIEPODLEGŁEJ

„Kompozytor musi być człowiekiem bogatym, musi mieć niańki do swoich dzieł, o których zapomina zaraz po napisaniu. Inaczej nic po nim nie pozostanie...” z Dziennika Ludomira Michała Rogowskiego (1881- 1954)

Anna Schwerin



Ludomir Michał Rogowski, fot. polona.pl

Każdy, kto choć chwilę poświęcił na poznanie życiorysu muzyka z dowolnej epoki, z pewnością zetknął się z przynajmniej krótkim opisem jego statusu w społeczeństwie. W starożytnych zapiskach natrafiamy na imiona kompozytorów domyślając się, że byli podziwiani, w średniowieczu przeważają dzieła anonimowe lub co najwyżej oznaczone monogramem, od renesansu natomiast imiona i nazwiska twórców ponownie wracają na karty historii.

Ale status społeczny artystów (poza uznaniem dla ich talentu czy raczej sprawności muzycznej) nie był wysoki. Byli rzemieślnikami zatrudnianymi przez dwory, kościoły czy miasta i niekoniecznie dobrze opłacanymi. Określenia „niepowtarzalny” i „jednostkowy” artystom dokleił romantyzm, jednocześnie tworząc legendę „ubogiego, genialnego, ale niedocenionego i przedwcześnie zmarłego twórcy”. Paradoksalnie zatem – artysta zatrudniony na dworze mógł bez przeszkód koncentrować się na komponowaniu, a artysta „wolny jak ptak” poszukiwał alternatywnych źródeł dochodu, aby uprawiać sztukę.

Tak zostało do dzisiaj. Współcześni kompozytorzy wykładają na uczelniach, bywają dyrygentami, recenzentami życia muzycznego, działają w stowarzyszeniach twórczych, ale przede wszystkim są własnymi menedżerami, nieustannie zabiegając

u wydawców, dyrygentów, dyrektorów instytucji muzycznych i festiwali o uwzględnienie w programie chociaż krótkiego utworu ich autorstwa. Nieliczni zdobywają zamówienia na kompozycję z gwarancją wydania, wykonania, a nawet nagrania. Jedno pozostaje niezmiennie – istniejesz w obiegowym repertuarze i jesteś rozpoznawalny tylko wtedy, gdy sam o to dbasz. W innym wypadku, bez względu na jakość dzieła, można liczyć na łut szczęścia lub przypadkowe odkrycie po latach.

Tak stało się z twórczością Ludomira Michała Rogowskiego, która na początku XX wieku porównywana była z kompozycjami Claude’a Debussy’ego, Maurycego Ravela i Igora Strawińskiego. Był zatem w pierwszej lidze kompozytorskiej. Oprócz tego śpiewał, dyrygował, organizował wydarzenia muzyczne, publikował w dziedzinie teorii muzyki, pisał opowiadania fantastyczno- okultystyczne i swój pamiętnik.

Rogowski urodził się w Lublinie (tablicę pamiątkową odsłonięto w 1981 roku), był rówieśnikiem Karola Szymanowskiego (1882- 1937), którego uważamy za najwybitniejszego polskiego kompozytora pierwszej połowy XX wieku. Okres I wojny światowej Rogowski spędził we Francji (w Paryżu i okolicach Nicei), obracając się w kręgu najwybitniejszych artystów (Picasso, Max Ernst, Hemingway, Matisse, Chagall). W 1921 roku wrócił do wolnej Polski, ale zaledwie kilka lat później przeniósł się na stałe do Dubrownika. Czy na tej decyzji zaważyły właśnie i spory środowiska muzycznego? Czy dlatego też zniknął na lata z polskiej historii muzyki?

Chorwacja stała się jego drugą ojczyzną. Został doceniony jako twórca hymnu miasta Dubrownik. Od władz miasta otrzymał pokój w dawnym klasztorze św. Jakuba i rentę. Został też pochowany na miejscowym cmentarzu.

Rogowski miał szczęście, bo po latach znalazły się „niańki”, począwszy od Urszuli Dzierżawskiej-Bukowskiej, autorki książki „Rogowski o Dubrowniku, Dubrowniczanie o Rogowskim” (wydanej własnymi środkami), poprzez pracę doktorską Ewy Wójtowicz „Ludomir Michał Rogowski. Sylwetka życia i twórczości” (2009), aż po album jego pieśni w wykonaniu mezzosopranistki Izabeli Kopeć „Songs & Fantasmagorie” (2017).

A gdyby tak nakręcić film fabularny o Rogowskim? Scenariusz jest gotowy – to jego życie. ■



Liczymy na hojność darczyńców!

Tak, jak dotychczas, dzięki Wam wspieramy działaczy opozycji ulicznej, którzy z racji swojej aktywności znaleźli się w trudnej sytuacji materialnej. Angażujemy się w działalność edukacyjną przed nadchodzącymi wyborami. Wraz z innymi organizacjami budujemy postawy obywatelskie, profrekwencyjne.

Zachęcamy do zasiadania w komisjach wyborczych, do pełnienia roli mężów zaufania, by zapobiec fałszerstwom. Konsolidujemy też środowiska opozycyjne w całym kraju.

Organizujemy debaty konstytucyjne z udziałem najlepszych ekspertów. Obnażamy populistyczny i autorytarny charakter władzy, jej kłamstwa, fatalne decyzje i złe intencje. Przekonujemy nieprzekonanych, solidaryzujemy się z najstarszymi i najbardziej poszkodowanymi przez „dobrą zmianę”.

Liczymy na Wasze wsparcie. Cenna będzie każda złotówka wpłacona na nasz wspólny cel: przywrócenie w naszym kraju zasad demokratycznych i rządów prawa!

Stowarzyszenie Wolność Równość Demokracja
BZ WBK – 18 1090 1014 0000 0001 3646 7260
tytuł wpłaty – darowizna na cele statutowe



Mateusz Kijowski Piotr Surmaczyński
BUNTOWNIK

MATEUSZ KIJOWSKI
PIOTR SURMACZYŃSKI



BUNTOWNIK
ROZMOWY NIEKONTROLOWANE

Przeczytałem ten dwugłos z wielkim zaciekawieniem, ale też z pewnego typu wzruszeniem, dlatego że miałem takie wrażenie, jakby to była rozmowa dwóch moich młodszych braci.

Mianowicie, miałem takie odczucie, że ten system wartości, który był mi bliski przez całe długie lata od 1968 roku, towarzyszył mi w KOR-ze, to była chyba wspólna aksjologia całego środowiska, że podobnie reagował i Heniek Wujec, i Janek Lityński, i Konrad Bieliński, i oczywiście Jacek Kuroń, że ja tu nagle z zaskoczeniem i ze wzruszeniem znalazłem dwóch ludzi innej generacji i w innej sytuacji; dla mnie to było niesłychanie ważne świadectwo...

Adam Michnik



Książkę można kupić na stronie
www.buntownik.eu

DRUKARNIA

FOLDRUK FOLION SP.J.

ul. Poezji 19, 04-994 Warszawa

e-mail: adam@foldruk.pl

www.foldruk.pl

tel. (+48) 22 872 00 54

tel./fax: (+48) 22 872 05 73

tel. kom.: 0 502 223 534



Świadczymy usługi w zakresie druku offsetowego, sitowego oraz wielkoformatowego. Posiadamy również własną introligatornię.

Oferujemy kompleksową obsługę firm w materiały POS.

Swoim Klientom oferujemy szeroką ofertę usług, wieloletnie doświadczenie oraz wysoką jakość produktów.

Drukujemy:

- broszury
- foldery
- katalogi
- plakaty
- opakowania
- teczki
- materiały POS
- wizytówki
- papiery firmowe

